

BRUNO SCHULZ

# Sklepy cynamonowe (zbiór)

BRUNO SCHULZ

# Sklepy cynamonowe (zbiór)

## Sierpień

I

W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni światłem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pały od blasku i miały na dnie słodki do omdlenia miąższ złotych gruszek.

Adela wracała w świetliste poranki, jak Pomona<sup>1</sup> z ognia dnia rozżagwionego<sup>2</sup>, wysypując z koszyka barwną urodę słońca — lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką cereśnie, tajemnicze, czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiałe siłą i pożywnością płaty mięsa z klawiaturą żeber cielejących, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy — surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jałowym, wegetatywne<sup>3</sup> i, telluryczne<sup>4</sup> ingrediencje<sup>5</sup> obiadu o zapachu dzikim i polnym.

Lato, Jedzenie, Bogini

Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających słoików powietrznych, kwadraty blasku, śniące żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobytą z najgłębszej złotej żyły dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach<sup>6</sup>, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprzątaniu Adela zapuszczała cień na pokoje, zasuwając płócienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napępiał się cieniem, jakby pograżony w światło głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny.

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podciągnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę — złotą maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą maską, namalowaną grubą, złotą farbą na twarzy, szczyrzyli do siebie ten grymas bakchiczny<sup>7</sup> — barbarzyńską maskę kultu pogańskiego.

Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gorącymi wiatrami, jak blijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały na nim jasnym

<sup>1</sup>Pomona (mit. rzym.) — bogini urodzaju.

<sup>2</sup>rozżagwiony — płonący; od *żagiew* — kawał płonącego drewna.

<sup>3</sup>wegetatywny — tu: roślinny.

<sup>4</sup>telluryczny — odnoszący się do Ziemi.

<sup>5</sup>ingredienca (z łac.) — składnik.

<sup>6</sup>trotuar — chodnik.

<sup>7</sup>bakchiczny (mit. rzym.) — związany z Bachusem, bogiem wina.

listowiem, bukietami szlachetnie uczłonkowanych filigranów<sup>8</sup> zielonych, jak drzewa na starych gobelinach<sup>9</sup>. Zdawało się, że te drzewa afektują wicher, wzbudzając teatralnie swe korony, ażeby w patetycznych przegięciach ukazać wytworność wachlarzy ustnych o srebrzystym podbrzuszu, jak lustra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabarwiały się refleksami wielkiej atmosfery, echemi, wspomnieniami barw, rozproszonymi w głębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy<sup>10</sup>, obijający stare fasady z pleśni tynku) obtłukiwały kłamiwą glazurę<sup>11</sup>, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, oślepione blaskiem pustego placu, spały; balkony wyznawały niebu swą pustkę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem.

Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału, oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowanego hieroglifami<sup>12</sup> rys i pęknięć. Zresztą rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek samarytanina<sup>13</sup>, prowadzony za uzdę, a dwóch pacholków zawlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem<sup>14</sup> piętro.

Tak wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku miały powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami — jedne bladoróżowe, jak skóra ludzka, inne złote i sine, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na słońcu, jak jakieś twarze słoneczne, zdeptane stopami aż do niepoznaki, do błogiej nicości.

Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cień apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chłód balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. I po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal *decorum*<sup>15</sup> miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego.

Przedmiejskie domki tonęły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i pogmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie ziela, kwiaty i chwasty, rade<sup>16</sup> z tej pauzy, którą prześnić mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydźwignięty na potężnej łodydze i chory na elephantiasis<sup>17</sup>, czekał w żółtej żalobie ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji<sup>18</sup>. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe<sup>19</sup>, niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakrochmalonych, różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

2

Splątany gąszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków<sup>20</sup> buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rojowiskiem much popołudniowa drzemka ogrodu. Złote ściernisko krzyczy w słońcu jak ruda szarańcza; w rześnym deszczu ognia wrzeszczą świerszcze; strąki nasion eksplodują cicho jak koniki polne.

<sup>8</sup>*filigran* — ornament z cienkich drucików.

<sup>9</sup>*gobelin* — tkanina dekoracyjna przedstawiająca jakąś scenę na podobieństwo obrazu.

<sup>10</sup>*sztukator* — rzemieślnik wyrabiający sztukaterie, zdobienia ścian i sklepień wykonane z gipsu lub stiuku.

<sup>11</sup>*glazura* — typ szkliva służącego do pokrywania wyrobów ceramicznych.

<sup>12</sup>*hieroglify* — rodzaj starożytnego pisma obrazkowego.

<sup>13</sup>*osiołek samarytanina* — fragment odnosi się do przypowieści o dobrym Samarytaninie, który jako jedyny zaopiekował się pobitym Żydem, pomimo napięć religijnych i etnicznych dzielących ówczesne obie nacje.

<sup>14</sup>*szabas* — żydowski dzień święty, wypadający w sobotę, poświęcany odpoczynkowi i modlitwie, w którym nie wolno pracować.

<sup>15</sup>*decorum* — zasada dostosowania formy utworu do jego treści.

<sup>16</sup>*rad* (daw.) — zadowolony.

<sup>17</sup>*elephantiasis* a. *stoniowacizna* — choroba polegająca na patologicznym zgrubieniu nóg i krocza.

<sup>18</sup>*korpulencja* — otyłość.

<sup>19</sup>*perkal* — tanie, cienkie płótno bawełniane.

<sup>20</sup>*bodiak* (reg.) — gatunek ostu.

Lato

Chrystus

A ku parkanowi kozuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się we śnie na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają ciszą ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w głuche zapadliska ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się ozorami mięsistej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby<sup>21</sup> łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadłe, na wpeł pożarte przez własne oszalałe spódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, śmierdzącą mydłem, grubą kaszę babek, dziką okowitę mięty i wszelką najgorszą tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrasta się głupota zidiociałych chwastów, było śmietnisko zarosłe dzikim bodiakiem. Nikt nie wiedział, że tam właśnie odprowiał sierpień tego lata swoją wielką, pogańską orgię. Na tym śmietnisku, oparte o parkan i zarośnięte dzikim bzem, stało łóżko skretyniałej dziewczyny Thui. Tak nazywaliśmy ją wszyscy. Na kupie śmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono malowane łóżko, podparte zamiast brakującej nogi dwiema starymi ceglami.

Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, cięte błyskawicami lśniących much końskich, rozwścieczonych słońcem, trzeszczało jak od nie widzianych grzechotek, podniecając do szału.

Thuja siedzi przykucnięta wśród żółtej pościeli i szmat. Wielka jej głowa jeży się wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas płaczu składa tę harmonię w tysiąc poprzecznych fałd, a zdziwienie rozciąga ją z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dziąsła z żółtymi zębami pod ryjowatą, mięsistą wargą. Mijają godziny pełne żaru i nudy, podczas których Thuja gaworzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrząka. Muchy obsiadają nieruchomą gęstym rojem. Ale z nagłą ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszać się, jakby ożywiona chrobotem lęgających się w niej szczurów. Muchy budzą się spłoszone i podnoszą wielkim, huczącym rojem, pełnym wściekłego bzykania, błysków i migotań. I podczas gdy gałgany zsypują się na ziemię i rozbiegają po śmietnisku jak spłoszone szczury, wygrzebuje się z nich, odwija z wolna jądro, wyluszcza się rdzeń śmietniska: na wpeł naga i ciemna kretynka dźwiga się powoli i staje, podobna do bożka pogańskiego, na krótkich, dziecinnych nóżkach, a z napęczniałej napływem złości szyi, z poczerwieniałej, ciemniejszej od gniewu twarzy, na której, jak malowidła barbarzyńskie, wykwitają arabeski<sup>22</sup> nabrzmiałych żył, wyrwa się wrzask zwierzęcy, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchij<sup>23</sup> i puszczalek pół zwierzęcej, pół boskiej piersi. Bodiaki, spalone słońcem, krzyczą, łopuchy puchną i pyszną się bezwstydnym mięsem, chwasty ślinią się błyszczącym jadem, a kretynka, ochrypla od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza mięsistym łonem w wściekłą zapalczywością w pień bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywością tej rozpustnej chuci<sup>24</sup>, zaklinany całym tym nędzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej płodności.

Szaleniec, Ogród, Seks

Matka Thui wynajmuje się gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran<sup>25</sup> kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Maryśki. Była wczesna poranna godzina, weszliśmy do małej izby niebiesko bielonej, z ubitą polepą<sup>26</sup> glinianą na podłodze, na której leżało wczesne słońce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraźliwym szczękiem chłopskiego zegara na ścianie. W skrzyni na słomie leżała głupia Maryśka, błada jak opłatek i cicha jak rękawiczka, z której wysunięto dłoń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, klóciła się, wygadywała głośno i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryśki — czas więziony w jej duszy, wystąpił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas<sup>27</sup> przez izbę, hałaśliwy, huczący, piekielny, rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młyna-zegara, jak zła mąka, sypka mąka, głupia mąka wariatów.

<sup>21</sup>pałuba (daw.) — niezgrabna kukielka, także brzydka kobieta przypominająca kukłę.

<sup>22</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych.

<sup>23</sup>bronchia (łac.) — oskrzela.

<sup>24</sup>chuć —popęd seksualny, podniecenie.

<sup>25</sup>szafran — ciemnopomarańczowa przyprawa uzyskiwana z krokusów.

<sup>26</sup>polepą — klepisko, podłoga ubita z gliny zmieszanej z sieczką.

<sup>27</sup>samopas (daw.) — bez opieki.

W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brązowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwiące na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zakłęte były całe świetlane i jasne światy, jak te idealne i szczęśliwe obrazy, zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych.

W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami<sup>28</sup>, pożartymi przez pleśń i osłepłymi od starości, odnajdowaliśmy znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik<sup>29</sup> rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich własnego odrębnego czasu. Stare, mądre drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczały i wypuszczały tych ludzi, milczący świadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów — otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy, i weszliśmy w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się — w pierwszych niezręcznych gestach wydali nam swoją tajemnicę. Czyż nie byliśmy krwią i losem spokrewnieni z nimi?

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zielenią ogrodu. Spod ściany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o mięsie okrągłym i białym, cętkowanym rudą rdzą piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu, zawstyżeni trochę tą bezbronnością, z jaką wydali się nam bez zastrzeżeń, i piliśmy wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję tej upalnej soboty.

Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i płodnego, bującego już jakby poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić, rozsypać w rodzinę. Była to płodność niemal samoródcza, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała.

Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworódtwa<sup>30</sup>. I właściwie wszystkie jej skargi na męża, na służbę, jej troski o dzieci były tylko kapryszaniem i dąsaniem się nie zaspokojonej płodności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i płacziwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjałowionej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale fala samowystarczальной kobiecości odrzuciła na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo<sup>31</sup> niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męskości.

Było coś tragicznego w tej płodności niechlujnej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury na granicy nicości i śmierci, był jakiś heroizm kobiecości triumfujący urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją<sup>32</sup> męczyzny. Ale potomstwo ukazywało rację tej paniki macierzyńskiej, tego szalu rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów<sup>33</sup> bez krwi i twarzy.

Weszła Łucja, średnia, z głową nazbyt rozkwitłą i dojrzałą na dziecięcym i pulchnym ciełe o mięsie białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pączkującą, i zakwitła od razu całą twarzą, jak piwonia przelewająca się pełnią różową. Nieszczęśliwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i ploniła się jeszcze bardziej pod dotknięciem najubożniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną aluzję do jej nadwrażliwego panieństwa.

<sup>28</sup>oleodruk — przemysłowo wykonana reprodukcja przypominająca obraz olejny.

<sup>29</sup>alembik — naczynie laboratoryjne służące do destylacji.

<sup>30</sup>dzieworódtwo — rozwój organizmu z komórki jajowej, która nie została zapłodniona.

<sup>31</sup>mimo (daw.) — obok.

<sup>32</sup>insuficjencja (z łac.) — niewystarczalność.

<sup>33</sup>fantom — zjawia.

Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnoblond wąsem, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni.

Jego strój elegancki i drogocenny nosił piętno egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawać się białą pustą ścianą z bladą siecią żyłek, w których, jak linie na zatartej mapie, plątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie, szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał przedziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozpręgały i rozwiewały w nicość. Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął do mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podążyłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce<sup>34</sup>, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysokości głowy, łysej jak kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy — smuga, którą nieznanym przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś oglądał.

Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czulem doń nieprzewartą sympatię. Wziął mnie między kolana i tasując przed moimi oczyma wprawnymi dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mię dreszczem niepokoju, falą nagłego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgielka uśmiechu, która się zarysowała pod miękким i pięknym jego wąsem, zawiązek pożądania, który napiął się na jego skroniach pulsującą żyłą, nateżenie, trzymające przed chwilą jego rysy w skupieniu — upadły z powrotem w nicość i twarz odeszła w nieobecność, zapomniała o sobie, rozwiła się.

Mężczyzna, Pożądanie

## Nawiedzenie

I

Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach liszajem<sup>35</sup> cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.

Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poranka — przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i złoty jak ciemne piwo, ażeby potem zejść pod wielokrotnie rozczłonkowane, fantastyczne sklepienie kolorowych i rozległych nocy.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach<sup>36</sup>, które tak trudno od siebie odróżnić.

Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz w niewłaściwą sień i na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny.

Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bladych luster i tandetnych palm sztucznych, mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonożnej Adeli, która, nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dnie przed lustrami na rozwlekłej toalecie, zostawiając wszędzie jej ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelek i gorsetów.

Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nigdy nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb

Zima

Miasto

Labirynt, Miasto, Dom

Dom

<sup>34</sup>kozetka — wąski mebel bez oparcia przeznaczony do leżenia.

<sup>35</sup>liszaj — schorzenie skóry a. ubytki i plamy na płaskiej powierzchni, np. na tynku.

<sup>36</sup>fasada — frontowa ściana budynku.

zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nie tkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć.

W dolnych pokojach mieszkali subiekt<sup>37</sup> i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmyru sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokojów, płosząc przed sobą świecą stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i ścianach; szedł budzić ciężko chrapiących z twardego jak kamień snu.

W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej pościeli, wystawiali, siadając na łózkach, bose i brzydkie nogi i ze skarpetką w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania — ziewania przeciągniętego aż do lubieżności<sup>38</sup>, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich<sup>39</sup> wymiotach.

W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony<sup>40</sup>, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich, bezgłowych kadłubów<sup>41</sup> z nagłą zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem.

W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dni całe w łóżku, otoczony flaszkami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru<sup>42</sup>. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gęstwiały ciemniejszym spłotem arabesek<sup>43</sup>.

Wieczorami, gdy matka przychodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do niepoczytalności. Pamiętam, iż raz, obudziwszy się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegł tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką.

W inne dni bywał spokojny i skupiony i pogrążał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany głęboko w labiryntach zawilych obliczeń.

Widzę go w świetle kopcającej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowieм łóżka, z ogromnym cieniem od głowy na ścianie, kiwającego się w bezgłośniejszej medytacji.

Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zacerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czegoś szukając.

Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioły<sup>44</sup> szklanej, podzielonej na uncje<sup>45</sup> i napełnionej ciemnym fluidem<sup>46</sup>. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszka<sup>47</sup> gumową, jakby krętą, bolesną pępowiną, i tak połączony z żalonym przyrządem — nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przybladłą występował wyraz skupienia czy jakiejś występnej rozkoszy.

Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, wśród poduszek wielkiego łoża, a pokój ogromniał w górze w cieniu umbr<sup>48</sup>, który go łączył z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem — czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szepców, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę znowę pełną porozumiewawczych mrugnięć, perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały.

Ojciec, Tajemnica, Grzech

<sup>37</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie.

<sup>38</sup>lubieżność — rozpusta.

<sup>39</sup>tęgi — tu: obfiy.

<sup>40</sup>karakon — karaluch.

<sup>41</sup>kadłub (daw.) — tułów.

<sup>42</sup>kontuar — lada sklepowa.

<sup>43</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych.

<sup>44</sup>fioła — wąskie, wysokie szklane naczynie.

<sup>45</sup>uncja — ang. jednostka objętości, ok. 28–29 cm<sup>3</sup>.

<sup>46</sup>fluid — wg spirytystów substancja emanująca z ludzi i duchów.

<sup>47</sup>kiszka — tu: długa rura o niewielkiej średnicy.

<sup>48</sup>umbra — barwnik brunatnoczerwony.

Wówczas pograżał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oślep za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesk, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroila ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety wędły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesiennie, przepuszczając dalekie świtanie.

Wtedy wśród świergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym świcie, zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem.

Od dni, od tygodni, gdy zdawał się być pograżonym w zawiłych konto-korrientach — myśl jego zapuszczała się tajnie w labirynty własnych wnętrzości. Wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbiegłymi i mętny z tamtych głębin, uspokajał go uśmiechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały.

Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długie, monotonne rozważania, prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interludium<sup>49</sup>, filuternych<sup>50</sup> przekomarzań. Ale nocą podnosiły się te głosy namiętnej. Żądanie wracało coraz wyraźniej i donioślejsze i słyszeliśmy, jak rozmawiał z Bogiem, prosząc się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądało i domagało się.

Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźnie i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo usty<sup>51</sup> i wnętrzościami swymi. I usłyszeliśmy, jak duch weń wstąpił, jak podnosił się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dławiąc się hałaśliwymi słowy, które wyrzucał jak mitralieza<sup>52</sup>. Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tyrana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga.

Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczono go szeroko na ogromnym porcelanowym urynale<sup>53</sup>, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się jego głos, obcy i twardy — zrozumiałem gniew boży świętych mężów.

Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamańce rąk jego rozrywały niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plująca przekleństwami. Nie patrząc, widziałem go, groźnego Demiurga<sup>54</sup>, jak leżąc na ciemnościach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłonie na karniszu firanek, przykładał ogromną twarz do górnych szyb okna, na których płaszczył się potwornie mięsisty nos jego.

Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, mieszające się z wybuchami zaklęć, lamentów, gróźb mego ojca.

Czasami głosy przycichały i zżymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchały wielkim zgietkliwym hałasem, burzą zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagłą otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płachta ciemności wionęła przez pokój.

W świetle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieliznie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlustem w okno zawartość nocnika w noc, szumiącą jak muszla.

2

Mój ojciec powoli zanikał, wiądl w oczach.

Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał z sobą półgłosem, pograżony cały w jakieś zawiłe wewnętrzne afery. Zdawał się mogło, że osobowość jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych jaźni, gdyż

<sup>49</sup>interludium — instrumentalna wstawka muzyczna rozdzielająca poszczególne partie utworu.

<sup>50</sup>filuterny (daw.) — figlarny, prowokujący.

<sup>51</sup>usty — dziś popr. forma D. lm.: ustami.

<sup>52</sup>mitralieza (daw.) — wielolufowe działko szybkostrzelne.

<sup>53</sup>urynał (daw.) — nocnik.

<sup>54</sup>demiurg — w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła.



klócił się z sobą głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to znowu zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady<sup>55</sup> pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gorących temperamentów, rozpryskiwały się przy końcu wśród klątw, złorzeczeń i obelg.

Potem przyszedł okres jakiegoś uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha.

Znowu wielkie folianty<sup>56</sup> rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jakiś benedyktyński spokój pracy zalegał w świetle lampy nad białą pościelą łóżka, nad pochyloną siwą głową mego ojca.

Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej świetne, kolorowe odbijanki<sup>57</sup>, którymi skrzętnie wylepił stronicę księgi głównej.

Zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsyca się wewnątrz lupiny.

Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać.

Często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost ze śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu zląził z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował coś w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu.

Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierając się rękami o poręcz, bujał się nogami wstecz i naprzód, szukając rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemną purpurą bengalskiego światła<sup>58</sup>, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na uspiętego głęboko, którego śpiewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanach obszarach światów sennych.

Podczas długich, półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie.

I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadaliśmy wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać „Jakubie!” i stukać łyżką w stół, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyn i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pograżonym w zawiłych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzętały.

Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą pozę symetrycznie do wielkiego wypchanego sępa, który po drugiej stronie okna zawieszony był na ścianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozie, z wzrokiem zamglonym i z miną chytrze uśmiechniętą trwał godzinami, ażeby z nagle przy czymś wejściu zatrzepotać rękoma jak skrzydłami i zapiąć jak kogut.

Przestaliśmy zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyty jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pograżał się z dniem każdym głębiej w zawiłe i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia. Niedosięgły dla naszych perswazji i próśb, odpowiadał urzywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmącić nie mogło. Wiecznie zaaferowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach, nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykliśmy do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dzieciennego, w sobie zatopionego świegotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już zniknął niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć.

Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać na nas wrażenie, przywykliśmy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłużej naszej uwagi. Przestaliśmy po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Węzeł po węźle odluźniał się od nas, punkt po

<sup>55</sup>swada — płynność w mówieniu.

<sup>56</sup>foliant a. foliat — gruba książka dużego formatu.

<sup>57</sup>odbijanka a. kalkomania — obrazek przenoszony na kartkę ze specjalnie przygotowanego papieru.

<sup>58</sup>bengalskie światła a. ognie bengalskie — rodzaj fajerwerków.

Ojciec, Dziecko, Szaleństwo

Ojciec, Ptak

Ojciec, Szaleństwo,  
Choroba

punkcie gubił związki łączące go ze wspólnotą ludzką. To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw — mogły zniknąć pewnego dnia, tak samo nie zauważone, jak szara kupka śmieci, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na śmietnik.

## Ptaki

Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię okrywał dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy<sup>59</sup> i arki<sup>60</sup>, kryjące w sobie zakopcone przestrzenie strychów — czarne, zwęglone katedry, najeżone żebrami krokwi<sup>61</sup>, płatwi<sup>62</sup> i bantów<sup>63</sup> — ciemne płuca wieczorów zimowych. Każdy świt odkrywał nowe kominy i dymniki wyrosłe w nocy, wydęte przez wichry nocny, czarne piszczałki organów diabelskich. Kominarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kościołem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przyłgnąć, każda do właściwego miejsca na właściwej gałęzi, a o świcie ulatywać wielkimi stadami — tumany sady, płatki kopciui, falujące i fantastyczne, plamiąc migotliwym krakraniem mętnożółte smugi świtu. Dni stwardniały od zimna i nudy, jak zeszlóroczne bochenki chleba. Napoczynano je tępyimi nożami, bez apetytu, z leniwą sennością.

Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy nie zgłębioną istotę ognia, wyczuwał słony, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodną pieszczotę salamander, liżących błyszczącą sadzę gardzieli komina. Z zamięłowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak — przykucnięty na szczycie drabiny — majstrował coś przy suficie, przy karniszach wysokich okien, przy kulach i łańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się drabiną jak ogromnymi szczudłami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesek<sup>64</sup> i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu tego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, płatnościach najbliższego ultimo<sup>65</sup>, słuchał jej z roztargnieniem, pełen niepokoju, z drgawkami na nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, ażeby pobiec w kąt pokoju, przyłgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rąk, wyrażającymi najwyższą ważność badania — nasłuchiwać. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, oplakanego kompleksu, który dojrzewał głębi.

Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czcią i uwagą darzył Adelę. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy być świadkiem, śledząc z mieszaniną strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i śmiałymi ruchami posuwała szczotkę na długim drążku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosiła się od cichego śmiechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na łaskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym łaskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje, zatraskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim paść brzuchem na łóżko i wic się w konwulsjach śmiechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną.

Ojciec, Kobieta  
demoniczna, Seks

<sup>59</sup>gontowa strzecha — dach pokryty nachodzącymi na siebie deseczkami.

<sup>60</sup>ark — tu: luk.

<sup>61</sup>krokiew — pochyla belka podtrzymująca dach.

<sup>62</sup>platew — poprzeczna belka podtrzymująca krokwie.

<sup>63</sup>bant — wspornik.

<sup>64</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych.

<sup>65</sup>ultimo — ostatni dzień miesiąca, termin regulowania rachunków i innych należności.

W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w nie wypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięła sprawa ten niesamowity, zaplątany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich.

Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie — to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworków w kształcie i ubarwieniu. Niepodobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, rycząc żarłocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wątłym, nagim ciele garbusów — przyszłych pawi, bażantów, głuszców i kondorów<sup>66</sup>. Umieszczony w koszykach, wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach ślepe, bielmem zarosłe głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicości te pęcherze ślepe, pulsujące życiem, te niedołężne brzuchy, przyjmujące świat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narośle życia, pnące się omackiem ku światłu. W parę tygodni później, gdy te ślepe pączki życia pękły do światła, napęły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym świergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieździły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszących.

Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napęlić pokój kolorowym trzepotem, płatkami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu<sup>67</sup> i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwną, falującą grządkę, dywan żywy, który za czymś niebaczny wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepocące w powietrzu, aby w końcu rozmieścić się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej naroślami. Był to chudy asceta, lama<sup>68</sup> buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasuwiał z boku na źrenice, ażeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności — wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, ścięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschła i koścista, te same zrogowaciałe, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w węzłach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon<sup>69</sup> w szponach kondora. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, widząc go tak uspiętego, że mam przed sobą mumię — wyschłą i dlatego pomniejszoną mumię mego ojca. Sądzę, że i uwagi matki nie uszło to dziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Charakterystyczne jest, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego.

Nie poprzestając na wylęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządzał na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiązywał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczone i osiągnął w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy, stał się prawdziwą gospodą ptasią, arką Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron, nawet długo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w świecie ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wędrówek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa.

Impreza ta wzięła jednak niebawem — po krótkiej świetności — smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna transllokacja ojca do dwóch pokoiów na pod-

Ojciec, Ptak

Ojciec, Ptak, Szaleństwo,  
Czary

<sup>66</sup>kondor — duży ptak występujący w Ameryce Południowej, drapieżnik i padlinożerca.

<sup>67</sup>grynszpan — jasnozielony nalot na miedzianej powierzchni.

<sup>68</sup>lama — tybetański lub mongolski mnich buddyjski.

<sup>69</sup>analogon — odpowiednik.

daszu, które służyły za rupieciarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym świcie zmieszany klangor<sup>70</sup> głosów ptasich. Drewniane pudła pokojów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak straciliśmy ojca z widoku na przeciąg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogliśmy zauważyć, że zmniejszył się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzepiąc rękoma jak skrzydłami, wydawał pianie przeciągłe, a oczy zachodziły mu mgłą bielma. Potem, zawstydzony, śmiał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart.

Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiała się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanąwszy we drzwiach, załamała ręce nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana, otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawiła całą masę ptasią w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady<sup>71</sup>, zakrytej młyncem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasią gromadą ojciec mój, trzepiąc rękoma, w przerażeniu próbował wzniesić się w powietrze. Z wolna przeredzał się tuman skrzydlaty, aż w końcu na pobojowisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji.

W chwilę później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium<sup>72</sup> — człowiek złamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

Walka, Ptak

Ojciec, Wygnanie

## Manekiny

Ta ptasia impreza mego ojca była ostatnim wybuchem kolorowości, ostatnim i świetnym kontrmarszem fantazji, który ten niepoprawny improwizator, ten fechtmistrz<sup>73</sup> wyobraźni poprowadził na szanice<sup>74</sup> i okopy jałowej i pustej zimy. Dziś dopiero rozumiem samotne bohaterstwo, z jakim sam jeden wydał on wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy, drętwiającej miasto. Pozbawiony wszelkiego poparcia, bez uznania z naszej strony, bronił ten mąż przedziwny straconej sprawy poezji. Był on cudownym młynem, w którego leje sypały się otręby<sup>75</sup> pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitnąć wszystkimi kolorami i zapachami korzeni Wschodu. Ale przywykli do świetnego kuglarstwa<sup>76</sup> tego metafizycznego prestidigitatora<sup>77</sup>, byliśmy skłonni zapoznawać wartość jego suwerennej<sup>78</sup> magii, która nas ratowała z letargu pustych dni i nocy. Adeli nie spotkał żaden wyrzut za jej bezmyślność i tępy wandalizm. Przeciwnie, czuliśmy jakieś niskie zadowolenie, haniebną satysfakcję z ukrócenia tych wybujałości, których kosztowaliśmy łakomie do syta, ażeby potem uchylić się perfidnie od odpowiedzialności za nie. A może był w tej zdradzie i tajny pokłon w stronę zwycięskiej Adeli, której przypisywaliśmy niejasno jakąś misję i posłannictwo sił wyższego rzędu. Zdradzony przez wszystkich, wycofał się ojciec bez walki z miejsc swej niedawnej chwały. Bez skrzyżowania szpad oddał w ręce wroga domenę swej byłej świetności. Dobrowolny banita<sup>79</sup>, usunął się do pustego pokoju na końcu sieni i oszańcował się tam samotnością.

Zapomnieliśmy o nim.

Obległa nas znowu ze wszech stron żałobna szarość miasta, zakwitając w oknach ciemnym liszajem<sup>80</sup> świtów, pasożytniczym grzybem zmierzchów, rozrastającym się w pu-

Ptak, Czary, Zabawa

Zima, Nuda

<sup>70</sup>klangor — odgłos lecących ptaków.

<sup>71</sup>menady a. bachantki (mit. grec.) — towarzyski Dionizosa (Bachusa), boga wina, szalone kobiety tworzące jego orszak.

<sup>72</sup>dominium — teren podlegający czyjejś władzy.

<sup>73</sup>fechtmistrz — szermierz a. nauczyciel szermierki.

<sup>74</sup>szanice — wał, okop, umocnienie ziemne.

<sup>75</sup>otręby — łuski pozostałe po zmieleniu ziarna, przen.: coś zbędnego.

<sup>76</sup>kuglarstwo — sztuczka magiczna.

<sup>77</sup>prestidigitator (daw.) — iluzjonista.

<sup>78</sup>suwerenny — niepodległy.

<sup>79</sup>banita — wygnaniec.

<sup>80</sup>liszaj — schorzenie skóry, przen. plama a. ubytek na płaskiej powierzchni w rodzaju tynku.

szyste futro długich nocy zimowych. Tapety pokoiów, rozluźnione błogo za tamtych dni i otwarte dla kolorowych lotów owej skrzydlatej czeredy<sup>81</sup>, zamknęły się znów w sobie, zgęstniały, płacząc się w monotonii gorzkich monologów.

Lampy poczerniały i zwiędły jak stare osty i bodiaki<sup>82</sup>. Wisiały teraz osowiale i zgryźliwe, dzwoniąc cicho kryształkami szkiełek, gdy ktoś przeprowiał się omackiem przez szary zmierzch pokoju. Na próżno wetknęła Adela we wszystkie ramiona tych lamp kolorowe świece, nieudolny surogat<sup>83</sup>, blade wspomnienie świetnych iluminacji<sup>84</sup>, którymi kwitły niedawno wiszące ich ogrody. Ach! gdzie było to świegotliwe pączkowanie, to owocowanie pośpieszne i fantastyczne w bukietach tych lamp, w których, jak z pękających czarodziejskich tortów, ulatywały skrzydlate fantazmaty, rozbijające powietrze na talie kart magicznych, rozsypując je w kolorowe oklaski, sypiące się gęstymi łuskami lazuru, pawiej, papuziej zieleni, metalicznych połysków, rysując w powietrzu linie i arabeski<sup>85</sup>, migotliwe ślady lotów i kołowań, rozwijając kolorowe wachlarze trzepotów, utrzymujące się długo po przelocie w bogatej i błyskotliwej atmosferze. Jeszcze teraz kryły się w głębi zszarzałej aury echa i możliwości barwnych rozbłysków, lecz nikt nie nawiercał fioletem, nie doświadczał świdrem zmętniałych słoju powietrznych.

Tygodnie te stały pod znakiem dziwnej senności.

Łóżka cały dzień nie zaścielone, zawalone pościelą zmiętą i wytarzaną od ciężkich snów, stały jak głębokie łodzie gotowe do odpływu w mokre i zawile labirynty jakiejś czarnej, bezgwiazdnej Wenecji. O głuchym świecie Adela przynosiła nam kawę. Ubieraliśmy się leniwie w zimnych pokojach, przy świetle świecy, odbitej wielokrotnie w czarnych szybach okien. Poranki te były pełne bezładnego krzątania się, rozwlekłego szukania w różnych szufladach i szafach. Po całym mieszkaniu słycać było kłapanie pantofelków Adeli. Subiecki<sup>86</sup> zapalali latarnie, brali z rąk matki wielkie klucze sklepowe i wychodzili w gęstą, wirującą ciemność. Matka nie mogła dojść do ładu z toaletą. Świece dogasały w lichtarzu. Adela przepadała gdzieś w odległych pokojach lub na strychu, gdzie rozwieszała bieliznę. Nie można jej było się dowołać. Młody jeszcze, mętny i brudny ogień w piecu lizał zimne, błyszczące narośle sadzy w gardzieli komina. Świeca gasła, pokój pogrążał się w ciemności. Z głowami na obrusie stołu, wśród resztek śniadania zasypialiśmy na wpół ubrani. Leżąc twarzami na futrzanym brzuchu ciemności, odpływaliśmy na jego falistym oddechu w bezgwiazdną nicość. Budziło nas głośnie sprzątanie Adeli. Matka nie mogła uporać się z toaletą. Nim skończyła czesanie, subiecki wracali na obiad. Mrok na rynku przybierał kolor złotawego dymu. Przez chwilę z tych dymnych miodów, z tych mętnych bursztynów mogły się rozpowić kolory najpiękniejszego popołudnia. Ale szczęśliwy moment mijał, amalgamat<sup>87</sup> świtu przekwitł, wezbrany ferment dnia, już niemal dościgły, opadał z powrotem w bezsilną szarość. Zasiadaliśmy do stołu, subiecki zacierali czerwone z zimna ręce i nagle proza ich rozmów sprowadzała od razu pełny dzień, szary i pusty wtorek, dzień bez tradycji i bez twarzy. Ale gdy pojawiał się na stole półmisek z rybą w szklistej galarecie, dwie duże ryby leżące bok przy boku, głową do ogona jak figura zodiakalna, odpoznawaliśmy w nich herb owego dnia, emblemat<sup>88</sup> kalendarzowy bezimiennego wtorku, i rozbieraliśmy go pośpiesznie między siebie, pełni ulgi, że dzień odzyskał w nim swą fizjonomię<sup>89</sup>.

Subiecki spożywali go z namaszczeniem, z powagą kalendarzowej ceremonii. Zapach pieprzu rozchodził się po pokoju. A gdy wytarli bulką ostatek galarety ze swych talerzy, rozważając w myśli heraldykę następnych dni, i na półmisku zostawały tylko głowy z wygotowanymi oczyma — czuliśmy wszyscy, że dzień został wspólnymi siłami pokonany i że reszta nie wchodziła już w rachubę.

W samej rzeczy z resztą tą, wydaną na jej łaskę, Adela nie robiła sobie długich ceregie-li. Wśród brzęku garnków i chlustów zimnej wody likwidowała z energią tych parę godzin

<sup>81</sup>*czereda* — gromada.

<sup>82</sup>*bodiak* (reg.) — gatunek ostu.

<sup>83</sup>*surogat* — namiastka.

<sup>84</sup>*iluminacja* — efektowne, odświetne oświetlenie.

<sup>85</sup>*arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych.

<sup>86</sup>*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie.

<sup>87</sup>*amalgamat* — mieszanina różnorodnych składników (pierwotnie stop metalu z rtęcią).

<sup>88</sup>*emblem* — przedmiot (lub jego plastyczne przedstawienie) symbolizujący jakąś ideę.

<sup>89</sup>*fizjonomia* (daw.) — twarz, wygląd.

do zmierzchu, które matka przespiała na otomanie. Tymczasem w jadalni przygotowywano już scenę wieczoru. Polda i Paulina, dziewczęta do szycia, rozgospodarowywały się w niej z rekwizytami swego fachu. Na ich ramionach wniesiona, wchodziła do pokoju milcząca, nieruchoma pani, dama z kłaków i płótna, z czarną drewnianą gałką zamiast głowy. Ale ustawiona w kącie, między drzwiami a piecem, ta cicha dama stawała się panią sytuacji. Ze swego kąta, stojąc nieruchomo, nadzorowała w milczeniu pracę dziewcząt. Pełna krytycyzmu i niełaski, przyjmowała ich starania i umizgi<sup>90</sup>, z jakimi przyklękały przed nią, przymierzając fragmenty sukni, zaznaczone białą fastrygą. Obsługiwały z uwagą i cierpliwością milczący idol<sup>91</sup>, którego nic zadowolić nie mogło. Ten moloch<sup>92</sup> był nieubłagany jak tylko kobiece molochy być potrafią, i odsyłał je wciąż na nowo do pracy, a one, wrzecionowate i smukłe, podobne do szpuli drewnianych, z których odwijają się nici, i tak ruchliwe jak one, manipulowały zgrabnymi ruchami nad tą kupą jedwabiu i sukna, wcinały się szczękającymi nożycami w jej kolorową masę, furkotały maszyną, depcąc pedał lakierkową, tanią nóżką, a dookoła nich rosła kupa odpadków, różnokolorowych strzępów i szmatek, jak wyplute łuski i plewy, dookoła dwóch wybrednych i marnotrawnych papug. Krzywe szczęki nożyc otwierały się ze skrzypieniem, jak dzioby tych kolorowych ptaków.

Dziewczęta deptały nieuważnie po barwnych obrzynkach, brodząc nieświadomie niby w śmietniku możliwego jakiegoś karnawału, w rupieciarni jakiejś wielkiej, nie urzeczywistnionej maskarady. Otrzępywały się ze szmatek z nerwowym śmiechem, łaskotały oczyma zwierciadła. Ich dusze, szybkie czarodziejstwo ich rąk było nie w nudnych sukniach, które zostawały na stole, ale w tych setkach odstrzygnięć, w tych wiórach lekomyślnych i płochych, którymi mogły zasypać całe miasto jak kolorową, fantastyczną śnieżycą. Nagle było im gorąco i otwierały okno, ażeby w niecierpliwości swej samotni, w głodzie obcych twarzy, przynajmniej bezimienną twarz nocy zobaczyć, do okna przycisnąć. Wachlowały rozpalone swe policzki przed wzbierającą frankami nocą zimową — odsłaniały płonące dekolty, pełne nienawiści do siebie i rywalizacji, gotowe stanąć do walki o tego pierrot<sup>93</sup>, którego by ciemny powiew nocy przywiał na okno. Ach! jak mało wymagały one od rzeczywistości. Miały wszystko na sobie, miały nadmiar wszystkiego w sobie. Ach! byłby im wystarczył pierrot wypchany trocinami, jedno-dwa słowa, na które od dawna czekały, by móc wpaść w swą rolę z dawna przygotowaną, z dawna tłoczącą się na usta, pełną słodkiej i strasznej goryczy, ponoszącą dziko, jak stronicę romansu polykane nocą wraz ze łzami ronionymi na wypieki lic.

Podczas jednej ze swych wędrówek wieczornych po mieszkaniu, przedsięwziętych pod nieobecność Adeli, natknął się mój ojciec na ten cichy seans wieczorny. Przez chwilę stał w ciemnych drzwiach przyległego pokoju, z lampą w ręku, oczarowany sceną pełną gorączki i wypieków, tą idyllą<sup>94</sup> z pudru, kolorowej bibułki i atropiny<sup>95</sup>, której jako tło pełne znaczenia podłożona była noc zimowa, oddychająca wśród wzdętych firanek okna. Nakładając okulary, zbliżył się w paru krokach i obszedł dookoła dziewczęta, oświetlając je podniesioną w ręku lampą. Przeciąg z otwartych drzwi podniósł firanki u okna, panienki dawały się oglądać, kręcąc się w biodrach, polśniewając emalią oczu, lakiem<sup>96</sup> skrzypiących pantofelków, sprzączkami podwiązek pod wzdętą od wiatru sukienką; szmatki jęły<sup>97</sup> umykać po podłodze, jak szczury, ku uchylonym drzwiom ciemnego pokoju, a ojciec mój przyglądał się uważnie prychającym osóbkom, szepcząc półgłosem: — *Genus avium*<sup>98</sup>... jeśli się nie mylę, *scansores*<sup>99</sup> albo *pistacci*<sup>100</sup>... w najwyższym stopniu godne uwagi.

Przypadkowe to spotkanie stało się początkiem całej serii seansów, podczas których

Kobieta, Młodość

Kobieta, Lalka, Ptak

Zdrada, Flirt

<sup>90</sup>umizgi (daw.) — zaloty.

<sup>91</sup>idol — bożek; przedmiot kultu symbolizujący lub przedstawiający bóstwo.

<sup>92</sup>moloch (mit. semicka) — bóstwo ognia; przen.: coś bezlitosnego, złego, pochłaniającego niewinne ofiary.

<sup>93</sup>Pierrot — postać z tradycyjnej pantomimy francuskiej.

<sup>94</sup>idylla — sielanka.

<sup>95</sup>atropina — lek powodujący rozszerzenie źrenic.

<sup>96</sup>lak — topliwa masa używana do pieczętowania listów, barwy czerwonej lub brązowej.

<sup>97</sup>jęć (daw.) — zacząć.

<sup>98</sup>*Genus avium* (łac.) — gatunki ptaków.

<sup>99</sup>*scansores* (łac.) — ptaki z dwoma palcami z przodu i dwoma z tyłu; klasa historyczna, obecnie rozdzielona pomiędzy kilka różnych rzędów.

<sup>100</sup>*pistacci* (łac.) — rząd ptaków, do którego zaliczane są m.in. papugi.

ojciec mój zdołał rychło oczarować obie panienki urokiem swej przedziwnej osobistości. Odplacając się za pełną galanterii i dowcipu konwersację, którą zapełniał im pustkę wieczorów — dziewczęta pozwalały zapalonemu badaczowi studiować strukturę swych szczupłych i tandetnych ciałek. Działo się to w toku konwersacji, z powagą i wytwornością, która najryzykowniejszym punktom tych badań odbierała dwuznaczny charakter. Odsuwając pończoszkę z kolana Pauliny i studiując rozmiłowanymi oczyma zwięzłą i szlachetną strukturę przegubu, ojciec mój mówił: — Jakże pełna uroku i jak szczęśliwa jest forma bytu, którą panie obrały. Jakże piękna i prosta jest teza, którą dano wam swym życiem ujawnić. Lecz za to z jakim mistrzostwem, z jaką finezją wywiązują się panie z tego zadania. Gdybym, odrzucając respekt przed Stwórcą, chciał się zabawić w krytykę stworzenia, wołałbym: — mniej treści, więcej formy! Ach, jak by ulżył światu ten ubytek treści. Więcej skromności w zamierzeniach, więcej wstrzemięźliwości w pretensjach — panowie demiurdzy<sup>101</sup> — a świat byłby doskonalszy! — wołał mój ojciec akurat w momencie, gdy dłoń jego wyluskiwała białą łydkę Pauliny z uwięzi pończoszki. W tej chwili Adela stanęła w otwartych drzwiach jadalni, niosąc tacę z podwieczorkiem. Było to pierwsze spotkanie dwu tych wrogich potęg od czasu wielkiej rozprawy. My wszyscy, którzy asystowaliśmy przy tym spotkaniu, przeżyliśmy chwilę wielkiej trwogi. Było nam nad wyraz przykro być świadkami nowego upokorzenia i tak już ciężko doświadczonego męża. Mój ojciec powstał z klęczek bardzo zmieszany, falą po fali zabarwiała się jego twarz coraz ciemniej napływem wstydu. Ale Adela znalazła się niespodziewanie na wysokości sytuacji. Podeszła z uśmiechem do ojca i dała mu prztyczka w nos. Na to hasło Polda i Paulina klasnęły radośnie w dłonie, zatupały nóżkami i, uwiesiwszy się z obu stron u ramion ojca, obtańczyły z nim stół dookoła. W ten sposób, dzięki dobremu sercu dziewcząt, rozwiązał się zarodek przykrego konfliktu w ogólnej wesołości.

Oto jest początek wielce ciekawych i dziwnych prelekcji, które mój ojciec, natchniony urokiem tego małego i niewinnego audytorium, odbywał w następnych tygodniach owej wczesnej zimy.

Jest godne uwagi, jak w zetknięciu z niezwykłym tym człowiekiem rzeczy wszystkie cofały się niejako do korzenia swego bytu, odbudowywały swe zjawisko aż do metafizycznego<sup>102</sup> jądra, wracały niejako do pierwotnej idei, ażeby w tym punkcie sprzeniewierzyć się jej i przechylić w te wątpliwe, ryzykowne i dwuznaczne regiony, które nazwiemy tu krótko regionami wielkiej herezji. Nasz herezjarcha<sup>103</sup> szedł wśród rzeczy jak magnetyzer<sup>104</sup>, zarażając je i uwodząc swym niebezpiecznym czarem. Czy mam nazwać i Paulinę jego ofiarą? Stała się ona w owych dniach jego uczennicą, adeptką<sup>105</sup> jego teorii, modelem jego eksperymentów.

Tutaj postaram się wyłożyć z należyłą ostrożnością, i unikając zgorzenia, tę nader kacerską<sup>106</sup> doktrynę, która opętała wówczas na długie miesiące mego ojca i opanowała wszystkie jego poczynania.

## *Traktat o Manekinach albo wtóra księga rodzaju*<sup>107</sup>

— Demiurgos<sup>108</sup> — mówił ojciec — nie posiadał monopolu na tworzenie — tworzenie

Ojciec, Prorok

<sup>101</sup>demiurg — w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła.

<sup>102</sup>metafizyka — filozoficzne rozważania o przyczynach bytu i o jego naturze.

<sup>103</sup>herezjarcha — założyciel herezji.

<sup>104</sup>magnetyzer a. hipnotyzer — człowiek potrafiący oddziaływać na przedmioty i innych ludzi siłą swojego umysłu.

<sup>105</sup>adept — człowiek zgłębiający daną dziedzinę wiedzy.

<sup>106</sup>kacerski — heretycki.

<sup>107</sup>Księga Rodzaju a. Genesis — pierwsza księga Biblii opowiadająca o stworzeniu świata i człowieka.

jest przywilejem wszystkich duchów. Materii dana jest nieskończona płodność, niewyczerpana moc życiowa i zarazem uwodna<sup>109</sup> siła pokusy, która nas nęci do formowania. W głębi materii kształtują się niewyraźne uśmiechy, zawiązują się napięcia, zgęszczają się próby kształtów. Cała materia faluje od nieskończonych możliwości, które przez nią przechodzą mdłymi<sup>110</sup> dreszczami. Czekać na ożywcze tchnienie ducha, przelewa się ona w sobie bez końca, kusi tysiącem słodkich okrągłych i miękkości, które z siebie w ślepych rojeniach wymajacza.

Pozbawiona własnej inicjatywy, lubieżnie podatna, po kobiecemu plastyczna, uległa wobec wszystkich impulsów — stanowi ona teren wyjęty spod prawa, otwarty dla wszelkiego rodzaju szarlatanerii i dyletantyzmów, domenę wszelkich nadużyć i wątpliwych manipulacji demiurgicznych. Materia jest najbierniejszą i najbezbronniejszą istotą w kosmosie. Każdy może ją ugniatać, formować, każdemu jest posłuszna. Wszystkie organizacje materii są nietrwałe i luźne, łatwe do uwstecznienia i rozwiązania. Nie ma żadnego zła w redukcji życia do form innych i nowych. Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwałtem wobec opornych i skostniałych form bytu, które przestały być zajmujące<sup>111</sup>. W interesie ciekawego i ważnego eksperymentu może ono nawet stanowić zasługę. Tu jest punkt wyjścia dla nowej apologii sadyzmu<sup>112</sup>.

Mój ojciec był niewyczerpany w gloryfikacji tego przedziwnego elementu, jakim była materia. — Nie ma materii martwej — nauczał — martwota jest jedynie pozorem, za którym ukrywają się nieznanne formy życia. Skala tych form jest nieskończona, a odcienie i niuanse niewyczerpane. Demiurgos był w posiadaniu ważnych i ciekawych recept twórczych. Dzięki nim stworzył mnogość rodzajów, odnawiających się własną siłą. Nie wiadomo, czy recepty te kiedykolwiek zostaną zrekonstruowane. Ale jest to niepotrzebne, gdyż jeśli nawet te klasyczne metody kreacji okazały się raz na zawsze niedostępne, pozostają pewne metody illegalne<sup>113</sup>, cały bezmiar metod heretyckich i występnych.

W miarę jak ojciec od tych ogólnych zasad kosmogonii<sup>114</sup> zbliżał się do terenu swych cenniejszych zainteresowań, głos jego zniżał się do wnikliwego szeptu, wykład stawał się coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodził, gubiły się w coraz bardziej wątpliwych i ryzykownych regionach. Gestykulacja jego nabierała ezoterycznej<sup>115</sup> solenności<sup>116</sup>. Przymykał jedno oko, przykładł dwa palce do czoła, chytrłość jego spojrzenia stawała się wprost niesamowita. Wwiercał się tą chytrością w swe interlokutorki<sup>117</sup>, gwałcił cynizmem tego spojrzenia najwstydlwsze, najintymniejsze w nich rezerwy i dosięgał wymykające się w najgłębszym zakamarku, przypierał do ściany i laskotał, drapał ironicznym palcem, póki nie dołaskotał się błysku zrozumienia i śmiechu, śmiechu przyznania i porozumienia się, którym w końcu musiało się kapitulować.

Dziewczęta siedziały nieruchomo, lampa kopciała, sukno pod igłą maszyny dawno się zsunęło, a maszyna stukotała pusto, stębnując<sup>118</sup> czarne, bezgwiazdne sukno, odwijające się z postawy nocy zimowej za oknem.

— Zbyt długo żyliśmy pod terrorem niedościągłej doskonałości Demiurga — mówił mój ojciec — zbyt długo doskonałość tego tworu paraliżowała naszą własną twórczość. Nie chcemy z nim konkurować. Nie mamy ambicji mu dorównać. Chcemy być twórcami we własnej, niższej sferze, pragniemy dla siebie twórczości, pragniemy rozkoszy twórczej, pragniemy — jednym słowem — demiurgii. — Nie wiem, w czym imieniu proklamował mój ojciec te postulaty, jaka zbiorowość, jaka korporacja, sekta czy zakon, nadawały swą

<sup>108</sup>*demiurg* — w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła.

<sup>109</sup>*uwodny* — dziś: uwodzicielski.

<sup>110</sup>*mdły* (daw.) — słaby.

<sup>111</sup>*Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwałtem wobec opornych i skostniałych form bytu, które przestały być zajmujące* — aluzja do filozofii genezyskiej Juliusza Słowackiego.

<sup>112</sup>*sadyzm* — zboczenie seksualne polegające na znajdowaniu przyjemności w zadawaniu bólu partnerowi; określenie pochodzi od nazwiska markiza de Sade, oświeceniowego pisarza i filozofa.

<sup>113</sup>*illegalny* — nielegalny.

<sup>114</sup>*kosmogonia* — zespół wyobrażeń o powstaniu kosmosu.

<sup>115</sup>*ezoteryczny* — dostępny tylko dla wtajemniczonych, tu: tajemniczy.

<sup>116</sup>*solenność* — powaga, wzniosłość.

<sup>117</sup>*interlokutor* — rozmówca.

<sup>118</sup>*stębnować* — szyć, pozostawiając ciągłą linię po wierzchniej stronie tkaniny.



solidarnością patos jego słowom. Co do nas, to byliśmy dalecy od wszelkich zakusów demiurgicznych.

Lecz ojciec mój rozwinął tymczasem program tej wtórej demiurgii, obraz tej drugiej generacji stworzeń, która stanąć miała w otwartej opozycji do panującej epoki. — Nie zależy nam — mówił on — na tworach o długim oddechu, na istotach na daleką metę. Nasze kreatury nie będą bohaterami romansów w wielu tomach. Ich role będą krótkie, lapidarne<sup>119</sup>, ich charaktery — bez dalszych planów. Często dla jednego gestu, dla jednego słowa podejmujemy się trudu powołania ich do życia na tę jedną chwilę. Przyznajemy otwarcie: nie będziemy kładli nacisku na trwałość ani solidność wykonania, twory nasze będą jak gdyby prowizoryczne, na jeden raz zrobione. Jeśli będą to ludzie, to damy im na przykład tylko jedną stronę twarzy, jedną rękę, jedną nogę, tę mianowicie, która im będzie w ich roli potrzebna. Byłoby pedanterią troszczyć się o ich drugą, nie wchodzącą w grę nogę. Z tyłu mogą być po prostu zaszyte płótnem lub pobielone. Naszą ambicję pokładać będziemy w tej dumnej dewizie: dla każdego gestu inny aktor. Do obsługi każdego słowa, każdego czynu powołamy do życia osobnego człowieka. Taki jest nasz smak, to będzie świat według naszego gustu. Demiurgos kochał się w wytrawnych, doskonałych i skomplikowanych materiałach — my dajemy pierwszeństwo tandecie. Po prostu porywa nas, zachwyca taniość, lichota, tandetność materiału. Czy rozumiecie — pytał mój ojciec — głęboki sens tej słabości, tej pasji do pstrej bibułki, do *papier-mâché*, do lakowej farby, do kłaków i trociny? To jest — mówił z bolesnym uśmiechem — nasza miłość do materii jako takiej, do jej puszystości i porowatości, do jej jedynej, mistycznej konsystencji. Demiurgos, ten wielki mistrz i artysta, czyni ją niewidzialną, każe jej zniknąć pod grą życia. My, przeciwnie, kochamy jej zgrzyt, jej oporność, jej pałubiąstą<sup>120</sup> niezgrabność. Lubimy pod każdym gestem, pod każdym ruchem widzieć jej ociężały wysiłek, jej bezwład, jej słodką niedźwiedziowość.

Dziewczęta siedziały nieruchomo ze szklanymi oczyma. Twarze ich były wyciągnięte i zgłupiałe zaszuchaniem, policzki podmalowane wypiekami, trudno było w tej chwili ocenić, czy należą do pierwszej, czy do drugiej generacji stworzenia.

— Słowem — konkludował mój ojciec — chcemy stworzyć po raz wtóry człowieka, na obraz i podobieństwo manekina.

Tu musimy dla wierności sprawozdawczej opisać pewien drobny i błahy incydent, który zaszedł w tym punkcie prelekcji i do którego nie przywiązujemy żadnej wagi. Incydent ten, całkowicie niezrozumiały i bezsensowny w tym danym szeregu zdarzeń, da się chyba wytłumaczyć jako pewnego rodzaju automatyzm szczątkowy, bez anteceden-  
sów<sup>121</sup> i bez ciągłości, jako pewnego rodzaju złośliwość obiektu, przeniesiona w dziedzinę psychiczną. Radzimy czytelnikowi zignorować go z równą lekkością, jak my to czynimy. Oto jego przebieg:

W chwili gdy mój ojciec wymawiał słowo „manekin”, Adela spojrzała na zegarek na bransoletce, po czym porozumiała się spojrzeniem z Poldą. Teraz wysunęła się wraz z krzesłem o pięć<sup>122</sup> naprzód, podniosła brzeg sukni, wystawiła powoli stopę, opiętą w czarny jedwab, i wyprężyła ją jak pyszczyk węża.

Tak siedziała przez cały czas tej sceny, całkiem sztywno, z wielkimi, trzepocącymi oczyma, pogłębionymi lazorem atropiny<sup>123</sup>, z Poldą i Pauliną po obu bokach. Wszystkie trzy patrzyły rozszerzonymi oczami na ojca. Mój ojciec chrząknął, zamilkł, pochylił się i stał się nagle bardzo czerwony. W jednej chwili lineatura<sup>124</sup> jego twarzy, dopiero co tak rozwichrzona i pełna wibracji, zamknęła się na spokojniałych rysach.

On — herezjarcha<sup>125</sup> natchniony, ledwo wypuszczony z wichru uniesienia — złożył się nagle w sobie, zapadł i zwinął. A może wymieniono go na innego. Ten inny siedział sztywny, bardzo czerwony, ze spuszczonymi oczyma. Panna Poldą podeszła i pochyliła się

Stworzenie, Ojciec, Teatr,  
Lalka

Ojciec, Kobieta  
demoniczna, Pożądanie,  
Zdrada

<sup>119</sup>lapidarny — krótki, zwięzły.

<sup>120</sup>pałuba (daw.) — niezgrabna kukielka, także brzydka kobieta przypominająca kukłę.

<sup>121</sup>antecedens — poprzedni stan rzeczy.

<sup>122</sup>pięć — dawna miara długości, ok. 20 cm.

<sup>123</sup>atropina — lek powodujący rozszerzanie źrenic.

<sup>124</sup>lineatura — układ linii.

<sup>125</sup>herezjarcha — założyciel heretyckiego ruchu religijnego.

nad nim. Klepiąc go lekko po plecach, mówiła tonem łagodnej zachęty: — Jakub będzie rozsądny, Jakub nie będzie uparty. No, proszę... Jakub, Jakub...

Wypięty pantofelek Adeli drżał lekko i błyszczał jak języczek węża. Mój ojciec podniósł się powoli ze spuszczonej oczyma, postąpił krok naprzód, jak automat, i osunął się na kolana. Lampa syczała w ciszy, w gęstwinie tapet biegly tam i z powrotem wymowne spojrzenia, leciały szepty jadowitych języków, gzygzaki myśli...

## Traktat o Manekinach

### CIĄG DALSZY

Następnego wieczora ojciec podjął z odnowioną swadą ciemny i zawiły swój temat. Lineatura<sup>126</sup> jego zmarszczek rozwijała się i zawiązała z wyrafinowaną chytrą. W każdej spirali ukryty był pocisk ironii. Ale czasami inspiracja rozszerzała kręgi jego zmarszczek, które rosły jakąś ogromną wirującą grozą, uchodząc w milczących wolutach<sup>127</sup> w głąb nocy zimowej. — Figury panoptikum<sup>128</sup>, moje panie — zaczął on — kalwaryjskie<sup>129</sup> parodie manekinów, ale nawet w tej postaci strzeżcie się lekko je traktować. Materia nie zna żartów. Jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto ośmiela się myśleć, że można igrać z materia, że kształtować ją można dla żartu, że żart nie wrasta w nią, nie wżera się natychmiast jak los, jak przeznaczenie? Czy przeczuwacie ból, cierpienie głuche, nie wywołone, zakute w materię cierpienie tej pałuby<sup>130</sup>, która nie wie, czemu nią jest, czemu musi trwać w tej gwałtem narzuconej formie, będącej parodią? Czy pojmujecie potęgę wyrazu, formy, pozorów, tyrańską samowolę, z jaką rzuca się on na bezbronną kłodę i opanowuje, jak własna, tyrańska, panosząca się dusza? Nadajecie jakiejś głowie z kłaków i płótna wyraz gniewu i pozostawiacie ją z tym gniewem, z tą konwulsją, z tym napięciem raz na zawsze, zamknięcia ze ślepą złością, dla której nie ma odpływu. Tłum śmieje się z tej parodii. Płacicie, moje panie, nad losem własnym, widząc nędzę materii więzionej, gnębionej materii, która nie wie, kim jest i po co jest, dokąd prowadzi ten gest, który jej raz na zawsze nadano.

Tłum śmieje się. Czy rozumiecie straszny sadyzm, upajające, demiurgiczne okrucieństwo tego śmiechu? Bo przecież płakać nam, moje panie, trzeba nad losem własnym na widok tej nędzy materii, gwałconej materii, na której dopuszczono się straszego bezprawia. Stąd płynie, moje panie, straszny smutek wszystkich błazńskich golemów, wszystkich pałub, zadumanych tragicznie nad śmiesznym swym grymasem.

Oto jest anarchista Luccheni<sup>131</sup>, morderca cesarzowej Elżbiety<sup>132</sup>, oto Draga<sup>133</sup>, demoniczna i nieszczęśliwa królowa Serbii, oto genialny młodzieniec, nadzieja i duma rodu, którego zgubił nieszczęsny nałóg onanii<sup>134</sup>. O, ironio tych nazw, tych pozorów!

Czy jest w tej pałubie naprawdę coś z królowej Dragi, jej sobowtór, najdalszy bodaj cień jej istoty? To podobieństwo, ten pozór, ta nazwa uspokaja nas i nie pozwala nam pytać, kim jest dla siebie samego ten twór nieszczęśliwy. A jednak to musi być ktoś, moje panie, ktoś anonimowy, ktoś groźny, ktoś nieszczęśliwy, ktoś, co nie słyszał nigdy w swym głuchym życiu o królowej Dradze...

<sup>126</sup>lineatura — układ linii.

<sup>127</sup>woluta — ornament w kształcie spirali lub zwoju.

<sup>128</sup>panoptikum — gabinet osobliwości, także figur woskowych.

<sup>129</sup>kalwaria — zespół kapliczek będących kolejnymi stacjami drogi krzyżowej.

<sup>130</sup>pałuba — daw. niezgrabna kukielka, także brzydka kobieta przypominająca kukłę.

<sup>131</sup>Luigi Luccheni (1873–1910) — włoski anarchista, który w 1898 roku zabił austriacką cesarzową Elżbietę szwajcarskim sztyłem; resztę życia spędził w więzieniu.

<sup>132</sup>Elżbieta von Wittelsbach (1837–1898) — żona cesarza Franciszka Józefa I, cesarzowa Austrii i królowa Węgier zwana Sisi. Z powodu swojej urody i wpływu, jaki miała na politykę męża, stała się bohaterką masowej wyobraźni.

<sup>133</sup>Draga Mašin (1864–1903) — królowa Serbii, żona Aleksandra Obrenowicia, nielubiana przez swoich poddanych, została wraz z mężem zamordowana 11 czerwca 1903 przez oficerów gwardii pałacowej.

<sup>134</sup>onania (daw.) — onanizm, masturbacja; mniej więcej do połowy XX wieku obwiniany o prowadzenie do groźnych dla zdrowia konsekwencji, od ogólnego osłabienia do ślepoty.

Ojciec, Stworzenie, Teatr,  
Falsz, Lalka

Tłum, Lalka

Buntownik

Czy słyszeliście po nocach straszne wycie tych pałub wojskowych, zamkniętych w budach jarmarcznych, żalony chór tych kadłubów z drewna i porcelany, walących pięściami w ściany swych więzień?

W twarzy mego ojca, rozwichrzonej grozą spraw, które wywołał z ciemności, utworzył się wir zmarszczek, lej rosnący w głąb, na którego dnie gorzało groźne oko prorocze. Broda jego zjeżyła się dziwnie, wiechcie i pędzle włosów, strzelające z brodawek, z pieprzów, z dziurek od nosa, nastroszyły się na swych korzonkach. Tak stał drętwy, z gorejącymi oczyma, drżąc od wewnętrznego wzburzenia, jak automat, który zaciął się i zatrzymał na martwym punkcie.

Adela wstała z krzesła i poprosiła nas o przymknięcie oczu na to, co się za chwilę stanie. Potem podeszła do ojca i z rękoma na biodrach, przybierając pozór podkreślonej stanowczości, zażądała bardzo dobitnie...

Kobieta demoniczna,  
Pożądanie, Zdrada

---

Panienki siedziały sztywno, ze spuszczonej oczyma, w dziwnej drętwości...

## Traktat o Manekinach

### DOKOŃCZENIE

Któregoś z następnych wieczorów ojciec mój w te słowa ciągnął dalej swą prelekcję<sup>135</sup>:

— Nie o tych nieporozumieniach ucieleśnionych, nie o tych smutnych parodiach, moje panie, owocach prostackiej i wulgarnej powściągliwości — chciałem mówić, zapowiadając mą rzecz o manekinach. Miałem na myśli coś innego.

Tu ojciec zaczął budować przed naszymi oczyma obraz tej wymarzonej przez niego *generatio aequivoca*<sup>136</sup>, jakiegoś pokolenia istot na wpół tylko ograniczonych, jakiejś pseudowegetacji<sup>137</sup> i pseudofauny<sup>138</sup>, rezultatów fantastycznej fermentacji materii.

Były to twory podobne z pozoru do istot żywych, do kręgowców, skorupiaków, członkonogów<sup>139</sup>, lecz pozór ten mylił. Były to w istocie istoty amorfne<sup>140</sup>, bez wewnętrznej struktury, płody imitatywnej<sup>141</sup> tendencji materii, która, obdarzona pamięcią, powtarza z przyzwyczajenia raz przyjęte kształty. Skala morfologii<sup>142</sup>, której podlega materia, jest w ogóle ograniczona i pewien zasób form powtarza się wciąż na różnych kondygnacjach bytu.

Istoty te — ruchliwe, wrażliwe na bodźce, a jednak dalekie od prawdziwego życia — można było otrzymać, zawieszając pewne skomplikowane koloidy<sup>143</sup> w roztworach soli kuchennej. Koloidy te po kilku dniach formowały się, organizowały w pewne zagęszczenie substancji, przypominające niższe formy fauny.

U istot tak powstałych można było stwierdzić proces oddychania, przemianę materii, ale analiza chemiczna nie wykazywała w nich nawet śladu połączeń białkowych ani w ogóle związków węgla.

Wszelako prymitywne te formy były niczym w porównaniu z bogactwem kształtów i wspaniałością pseudofauny i flory, która pojawia się niekiedy w pewnych ściśle określonych środowiskach. Środowiskami tymi są stare mieszkania, przesycone emanacjami

Stworzenie, Lalka, Fałsz

Dom, Stworzenie,  
Marzenie, Fałsz

---

<sup>135</sup>prelekcja — przemowa, wykład.

<sup>136</sup>*generatio aequivoca* a. *samoródtwo* — teoria mówiąca tym, że niektóre organizmy mogą powstawać same z siebie, bez udziału innych organizmów żywych (np. muchy powstające bezpośrednio z gnijącego mięsa), ostatecznie obalona przez Ludwika Pasteura.

<sup>137</sup>pseudowegetacja — tu: naśladownictwo roślin.

<sup>138</sup>pseudofauna — naśladownictwo organizmów zwierzęcych.

<sup>139</sup>członkonogi (daw.) — stawonogi (owady i pajęczaki).

<sup>140</sup>amorfny a. amorficzny — o nieokreślonym kształcie.

<sup>141</sup>imitatywny — naśladowniczy.

<sup>142</sup>morfologia — kształt zewnętrzny.

<sup>143</sup>koloid — tu: zawiesina drobnych cząsteczek ciała stałego w ciekłym ośrodku.

wielu żywotów i zdarzeń — zużyte atmosfery, bogate w specyficzne ingredience<sup>144</sup> marzeń ludzkich — rumowiska, obfitujące w humus<sup>145</sup> wspomnień, tęsknot, jałowej nudy. Na takiej glebie owa pseudowegetacja kiełkowała szybko i powierzchownie, pasożytowała obficie i efemerycznie, pędziła krótkotrwałe generacje, które rozkwitały raptownie i świetnie, ażeby wnet zgasnąć i zwiędnąć.

Tapety muszą być w takich mieszkaniach już bardzo zużyte i znudzone nieustanną wędrówką po wszystkich kadencjach rytmów; nic dziwnego, że schodzą na manowce dalekich, ryzykownych rojeń. Rdzeń mebli, ich substancja musi już być rozluźniona, zdegenerowana i podległa występnyemu pokusom: wtedy na tej chorej, zmęczonej i zdziczałej glebie wykwita, jak piękna wysypka, nalot fantastyczny, kolorowa, bujająca pleśń.

— Wiedzą panie — mówił ojciec mój — że w starych mieszkaniach bywają pokoje, o których się zapomina. Nie odwiedzane miesiącami, więdną w opuszczeniu między starymi murami i zdarza się, że zasklepiają się w sobie, zarastają cegłą i, raz na zawsze stracone dla naszej pamięci, powoli tracą też swą egzystencję. Drzwi, prowadzące do nich z jakiegoś podestu tylnych schodów, mogą być tak długo przeoczane przez domowników, aż wrastają, wchodzą w ścianę, która zaciera ich ślad w fantastycznym rysunku pęknięć i rys.

— Wszedłem raz — mówił ojciec mój — wczesnym rankiem na schyłku zimy, po wielu miesiącach nieobecności, do takiego na wpół zapomnianego traktu i zdumiony byłem wyglądem tych pokoiów.

Z wszystkich szpar w podłodze, z wszystkich gzymsów i framug<sup>146</sup> wystrzelały cienie pędy i napełniały szare powietrze migotliwą koronką filigranowego<sup>147</sup> listowia, ażurową<sup>148</sup> gęstwiną jakiejś cieplarni, pełnej szeptów, łśnień, kołysań, jakiejś fałszywej i błogiej wiosny. Dookoła łóżka, pod wieloramienną lampą, wzdłuż szaf chwiały się kępy delikatnych drzew, rozpryskiwały w górze w świetliste korony, w fontanny koronkowego listowia, bijące aż pod malowane niebo sufitu rozpylonym chlorofilem. W przyśpieszonym procesie kwitnienia kiełkowały w tym listowiu ogromne, białe i różowe kwiaty, pączkowały w oczach, bujały od środka różowym miąższem i przelewały się przez brzegi, gubiąc płatki i rozpadając się w prędkim przekwitaniu.

— Byłem szczęśliwy — mówił mój ojciec — z tego niespodzianego rozkwitu, który napełnił powietrze migotliwym szelestem, łagodnym szumem, przesypany się jak kolorowe confetti<sup>149</sup> przez cienkie różgi gałązek.

Widziałem, jak z drgania powietrza, z fermentacji zbyt bogatej aury wydziela się i materializuje to pośpieszne kwitnienie, przelewanie się i rozpadanie fantastycznych oleandrów<sup>150</sup>, które napełniły pokój rzadką, leniwą śnieżycą wielkich, różowych kiści kwiatnych.

— Nim zapadł wieczór — kończył ojciec — nie było już śladu tego świetnego rozkwitu. Cała złudna ta fatamorgana była tylko mistyfikacją, wypadkiem dziwnej symulacji materii, która podszywa się pod pozór życia.

Ojciec mój był dnia tego dziwnie ożywiony, spojrzenia jego, chytre, ironiczne spojrzenia, tryskały werwą i humorem. Potem, nagle poważniejąc, znów rozpatrywał nieskończoną skalę form i odcieni, jakie przybierała wielkokość materia. Fascynowały go formy graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ektoplazma<sup>151</sup> somnambulików<sup>152</sup>, pseudomateria, emanacja<sup>153</sup> katalęptyczna<sup>154</sup> mózgu, która w pewnych wypadkach rozrastała się z ust śpiącego na cały stół, napełniała cały pokój, jako bujająca, rzadka tkanka, astralne<sup>155</sup> ciało, na pograniczu ciała i ducha.

<sup>144</sup>ingredienca — składnik.

<sup>145</sup>humus — organiczna warstwa gleby.

<sup>146</sup>framuga — rama, w której osadzone są drzwi lub okno.

<sup>147</sup>filigran — ornament z cienkich drucików.

<sup>148</sup>ażur — wzór tworzony przez układ otworów.

<sup>149</sup>confetti — drobne kawałki papieru służące do obsypywania się podczas balów, zabaw karnawałowych itp.

<sup>150</sup>oleander — wiecznie zielony krzew.

<sup>151</sup>ektoplazma — substancja pojawiająca się w przy zjawiskach paranormalnych, np. wydzielana przez duchy.

<sup>152</sup>somnambulik — lunatyk.

<sup>153</sup>emanacja — uzewnętrznienie się czegoś.

<sup>154</sup>katalępsja — odrętwienie.

<sup>155</sup>astralny — niematerialny.

— Kto wie — mówił — ile jest cierpiących, okaleczonych, fragmentarycznych postaci życia, jak sztucznie sklecone, gwoździami na gwałt zbite życie szaf i stołów, ukrzyżowanego drzewa, cichych męczenników okrutnej pomysłowości ludzkiej. Straszliwe transplantacje obcych i nienawidzących się ras drzewa, skucie ich w jedną nieszczęśliwą osobowość.

Ile starej, mądrej męki jest w bejcowanych słojach, żyłach i fladrach<sup>156</sup> naszych starych, zaufanych szaf. Kto rozpozna w nich stare, zheblowane, wypolerowane do niepoznaki rysy, uśmiechy, spojrzenia!

Twarz mego ojca, gdy to mówił, rozeszła się zamysłoną lineaturą<sup>157</sup> zmarszczek, stała się podobna do sęków i słoików starej deski, z której zheblowano wszystkie wspomnienia. Przez chwilę myśleliśmy, że ojciec popadnie w stan drętwoty, który nawiedzał go czasem, ale ocknął się nagle, opamiętał i tak ciągnął dalej:

— Dawne, mistyczne plemiona balsamowały swych umarłych. W ścianach ich mieszkań były wprawione, wmurowane ciała, twarze; w salonie stał ojciec — wypchany, wygarbowana żona nieboszczyka była dywanem pod stołem. Znałem pewnego kapitana, który miał w swej kajucie lampę-meluzynę<sup>158</sup>, zrobioną przez manilskich<sup>159</sup> balsamistów z jego zamordowanej kochanki. Na głowie miała ogromne rogi jelenie.

W ciszy kajuty głowa ta, rozpięta między gałęziami rogów u stropu, powoli otwierała rzęsy oczu; na rozchylonych ustach lśniła błonka śliny, pękająca od cichego szeptu. Głowonogi, żółwie i ogromne kraby, zawieszane na belkach sufitu jako kandelabry i pająki<sup>160</sup>, przebierały w tej ciszy bez końca nogami, szły i szły na miejscu...

Twarz mego ojca przybrała naraz wyraz troski i smutku, gdy myśli jego na drogach nie wiedzieć jakich asocjacji<sup>161</sup> przeszły do nowych przykładów:

— Czy mam przemilczeć — mówił przyciszonym głosem — że brat mój na skutek długiej i nieuleczalnej choroby zamienił się stopniowo w zwój kiszek gumowych, że biedna moja kuzynka dniem i nocą nosiła go na poduszkach, nucąc nieszczęśliwemu stworzeniu nieskończone kołysanki nocy zimowych? Czy może być coś smutniejszego niż człowiek zamieniony w kiszkę hegarową<sup>162</sup>? Co za rozczarowanie dla rodziców, co za dezorientacja dla ich uczuć, co za rozwianie wszystkich nadziei związanych z obiecującym młodzieńcem! A jednak wierna miłość biednej kuzynki towarzyszyła mu i w tej przemianie.

— Ach! nie mogę już dłużej, nie mogę tego słuchać! — jęknęła Polda, przechylając się na krzesło. — Ucisz go, Adelo...

Dziewczęta wstały, Adela podeszła do ojca i wyciągniętym palcem uczyniła ruch zaznaczający laskotanie. Ojciec stropił się, zamilkł i zaczął, pełen przerażenia, cofać się tyłem przed kiwającym się palcem Adeli. Ta szła za nim ciągle, grożąc mu jadownicę palcem, i wypierała go krok za krokiem z pokoju. Paulina ziewnęła, przeciągnęła się. Obie z Poldą, wsparte o siebie ramionami, spojrzały sobie w oczy z uśmiechem.

Kobieta, Pożądanie, Zdrada

## Nemrod 163

Wieża Babel

Wieża Babel

Lato, Pies, Dziecko

Cały sierpień owego roku przebawiłem się z małym, kapitalnym pieskiem, który pewnego dnia znalazł się na podłodze naszej kuchni, niedołączny i piszczący, pachnący jeszcze mlekiem i niemowlęctwem, z nie uformowanym, okrągłym, drżącym łebkiem, z łapkami jak u kreta rozkraczonymi na boki i z najdelikatniejszą, mięciutką sierścią.

Od pierwszego wejrzenia zdobyła sobie ta kruszynka życia cały zachwyt, cały entuzjizm chłopięcej duszy.

<sup>156</sup>fladra — sztuczny rysunek słoików na drewnie.

<sup>157</sup>lineatura — układ linii.

<sup>158</sup>meluzyna — tu: kobieta z ogonem ryby lub węża.

<sup>159</sup>manilski — pochodzący z Manili, stolicy Filipin.

<sup>160</sup>pająk — wieloramienny żyrandol.

<sup>161</sup>asocjacja — skojarzenie.

<sup>162</sup>kiszka hegarowa — urządzenie służące do lewatywy.

<sup>163</sup>Nemrod a. Nimrod — wg tradycji żydowskiej despotyczny władca miasta Babel, który zainicjował budowę słynnej wieży Babel.

Z jakiego nieba spadł tak niespodzianie ten ulubieniec bogów, miłszy sercu od najpiękniejszych zabawek? Że też stare, zgoła nieinteresujące pomywaczki wpadają niekiedy na tak świetne pomysły i przynoszą z przedmieścia — o całkiem wczesnej, transcendentnie<sup>164</sup> porannej godzinie — takiego oto pieska do naszej kuchni.

Ach! było się jeszcze — niestety — nieobecny, nieurodzony z ciemnego łona snu, a już to szczęście ziściło się, już czekało na nas, niedołącznie leżące na chłodnej podłodze kuchni, nie docenione przez Adelę i domowników. Dlaczego nie obudzono mnie wcześniej! Talerzyk mleka na podłodze świadczył o macierzyńskich impulsach Adeli, świadczył niestety także i o chwilach przeszłości, dla mnie na zawsze straconej, o rozkoszach przybranego macierzyństwa, w których nie brałem udziału.

Ale przede mną leżała jeszcze cała przyszłość. Jakież bezmiar doświadczeń, eksperymentów, odkryć otwierał się teraz! Sekret życia, jego najistotniejsza tajemnica sprowadzona do tej prostszej, poręczniejszej i zabawkowej formy, odsłaniała się tu nienasyconej ciekawości. Było to nad wyraz interesujące mieć na własność taką odrobinę życia, taką cząsteczkę wieczystej tajemnicy, w postaci tak zabawnej i nowej, budzącej nieskończoną ciekawość i respekt sekretny swą obcością, niespodzianą transpozycją<sup>165</sup> tego samego wątku życia, który i w nas był, na formę od naszej odmienną, zwierzęcą.

Zwierzęta! Cel nienasyconej ciekawości, egzemplifikacje zagadki życia, jakby stworzone po to, by człowiekowi pokazać człowieka, rozkładając jego bogactwo i komplikację na tysiąc kalejdoskopowych<sup>166</sup> możliwości, każdą doprowadzoną do jakiegoś paradoksalnego krańca, do jakiejś wybujałości pełnej charakteru. Nie obciążone splotem egotycznych<sup>167</sup> interesów, mających stosunki międzyludzkie, otwierało się serce pełne sympatii dla obcych emanacji<sup>168</sup> wiecznego życia, pełne miłosnej, współpracującej ciekawości, która była zamaskowanym głosem samopoznania.

Piesek był aksamitny, ciepły i pulsujący małym, pospiesznym sercem. Miał dwa miękkie płatki uszu, niebieskawe, mętne oczy, różowy pyszczek, do którego można było włożyć palec bez żadnego niebezpieczeństwa, łapki delikatne i niewinne, ze wzruszającą, różową brodawczką z tyłu, nad stopami przednich nóg. Właził nimi do miski z mlekiem, żarłoczny i niecierpliwy, chlepcący napój różowym języczkiem, ażeby po nasyceniu się podnieść żałośnie małą mordkę z kroplą mleka na brodzie i wycofać się niedołącznie z kąpieli mlecznej.

Chód jego był niezgrabnym toczeniem się, bokiem na ukos, w niezdecydowanym kierunku, po linii trochę pijanej i chwiejnej. Dominantą tego nastroju była jakaś nieokreślona i zasadnicza żalność, sieroctwo i bezradność — niezdolność do zapełnienia czymś pustki życia pomiędzy sensacjami posiłków. Objawiało się to bezplanowością i niekonsekwencją ruchów, irracjonalnymi napadami nostalgii z żalnym skomleniem i niemożnością znalezienia sobie miejsca. Nawet jeszcze w głębi snu, w którym potrzebę oparcia się i przytulenia zaspokajając musiał, używając do tego własnej swej osoby, zwiniętej w kłębek drżący — towarzyszyło mu uczucie osamotnienia i bezdomności. Ach, życie — młode i wątłe życie, wypuszczone z zaufanej ciemności, z przytulnego łona macierzystego w wielki i obcy, świetlany świat, jakże kurczy się ono i cofa, jak wzdraga się zaakceptować tę imprezę, którą mu proponują — pełne awersji i zniechęcenia!

Lecz z wolna mały Nemrod (otrzymał był to dumne i wojownicze imię) zaczyna smakować w życiu. Wyłączne opanowanie obrazem macierzystej prajedni<sup>169</sup> ustępuje urokowi wielości.

Świat zaczyna nań zastawiać swe pułapki: nieznany a czarujący smak różnych pokarmów, czworobok porannego słońca na podłodze, na którym tak dobrze jest położyć się, ruchy własnych członków, własne łapki, ogonek, figlarnie wyzywający do zabawy z samym sobą, pieszczoty ręki ludzkiej, pod którymi z wolna dojrzewa pewna swawolność, wesołość rozpierająca ciało i rodząca potrzebę zgoła nowych, gwałtownych i ryzykownych

<sup>164</sup>transcendentalny — wykraczająca poza codzienną rzeczywistość, pozazmysłowy.

<sup>165</sup>transpozycja — zmiana charakteru obiektu, zwł. utworu muzycznego.

<sup>166</sup>kalejdoskopowy — zmieniający się szybko i w zaskakujący sposób.

<sup>167</sup>egotyczny — przesadnie skupiony na sobie.

<sup>168</sup>emanacja — manifestacja, uzewnętrznienie się czegoś.

<sup>169</sup>prajednia — wg niektórych systemów religijnych substancja zawierająca zarodki wszystkich rzeczy, z której wyłonil się wszechświat.

Zwierzęta

Wieża Babel

ruchów — wszystko to przekupuje, przekonywa i zachęca do przyjęcia, do pogodzenia się z eksperymentem życia.

I jeszcze jedno. Nemrod zaczyna rozumieć, że to, co mu się tu podsuwa, mimo pozorów nowości jest w gruncie rzeczy czymś, co już było — było wiele razy — nieskończenie wiele razy. Jego ciało poznaje sytuacje, wrażenia i przedmioty. W gruncie rzeczy to wszystko nie dziwi go zbyt. W obliczu każdej nowej sytuacji daje nura w swoją pamięć, w głęboką pamięć ciała, i szuka omackiem, gorączkowo — i bywa, że znajduje w sobie odpowiednią reakcję już gotową: mądrość pokoleń, złożoną w jego plazmie<sup>170</sup>, w jego nerwach. Znajduje jakieś czyny, decyzje, o których sam nie wiedział, że już w nim dojrzały, że czekały na to, by wyskoczyć.

Sceneria tego młodego życia, kuchnia z wonnymi cebrami, ze ścierkami o skomplikowanej i intrygującej woni, z kłapaniem pantofli Adeli, z jej hałaśliwym krzątaniem się — nie straszy go więcej. Przywykł uważać ją za swoją domenę, zadomowił się w niej i począł rozwijać w stosunku do niej niejasne poczucie przynależności, ojczyzny.

Chyba że niespodzianie spadał nań kataklizm w postaci szorowania podłogi — obalenie praw natury, chlusty ciepłego lugu<sup>171</sup>, podmywające wszystkie meble, i groźny szurgot szczotek Adeli.

Ale niebezpieczeństwo mija, szczotka uspokojona i nieruchoma leży cicho w kącie, schnąca podłoga pachnie miło mokrym drzewem. Nemrod, przywrócony znowu do swych normalnych praw i do swobody na terenie własnym, czuje żywą ochotę targać zębami stary koc na podłodze i targać nim z całej siły na prawo i lewo. Pacyfikacja żywiołów napędza go niewymowną radością.

Wtem staje jak wryty: przed nim, o jakie trzy kroki pieskie, posuwa się czarna maskara, potwór sunący szybko na przęciakach wielu pogmatwanych nóg. Do głębi wstrząśnięty Nemrod posuwa wzrokiem za skośnym kursem błyszczącego owada, śledząc w napięciu ten płaski, bezgłowy i ślepy kadłub, niesiony niesamowitą ruchliwością pajęczych nóg.

Coś w nim na ten widok wzbiera, coś dojrzewa, pęcznieje, czego sam jeszcze nie rozumie, niby jakiś gniew albo strach, lecz raczej przyjemny i połączony z dreszczem siły, samopoczucia, agresywności.

I nagle opada na przednie łapki i wyrzuca z siebie głos, jeszcze jemu samemu nie znany, obcy, całkiem niepodobny do zwykłego kwilenia.

Wyrzuca go z siebie raz, i jeszcze raz, i jeszcze, cienkim dyszkantem<sup>172</sup>, który się co chwila wykoleja.

Ale nadaremnie apostrofuje<sup>173</sup> owada w tym nowym, z nagłego natchnienia zrodzonym języku. W kategoriach umysłu karakoniego<sup>174</sup> nie ma miejsca na tę tyradę i owad odbywa dalej swą skośną turę ku kąтови pokoju, wśród ruchów uświęconych odwiecznym karakonim rytuałem.

Wszelako uczucia nienawiści nie mają jeszcze trwałości i mocy w duszy pieska. Nowo obudzona radość życia przeistacza każde uczucie w wesołość. Nemrod szczeka jeszcze, lecz sens tego szczekania zmienił się niepostrzeżenie, stało się ono swoją własną parodią — pragnąc w gruncie rzeczy wysłowić niewymowną udatność tej świetnej imprezy życia, pełnej pikanterii, niespodzianych dreszczyków i point.

## Pan<sup>175</sup>

W kącie między tylnymi ścianami szop i przybudówek był zaułek podwórza, najdalsza, ostatnia odnoga, zamknięta między komorę, wychodek i tylną ścianę kurnika — głucha zatoka, poza którą nie było już wyjścia.

<sup>170</sup>plazma — tu: protoplazma, materiał z którego zbudowane są komórki.

<sup>171</sup>ług — żrący środek wybielający, składnik mydła i innych środków czyszczących.

<sup>172</sup>dyszkant — wysoki głos chłopięcy, odpowiednik sopranu.

<sup>173</sup>apostrofować — zwracać się do kogoś.

<sup>174</sup>karakoni — karaluszy.

<sup>175</sup>Pan (mit. gr.) — opiekun pasterzy i stad, półczłowiek-półkoziół.

Był to najdalszy przylądek, Gibraltar<sup>176</sup> tego podwórza, bijący rozpaczliwie głową w ślepy parkan z poziomych desek, zamykającą i ostateczną ścianę tego świata.

Spod jego omszałych dyli<sup>177</sup> wyciekała strużka czarnej, śmierdzącej wody, żyła gnijącego, tłustego błota, nigdy nie wysychająca — jedyna droga, która przez granice parkanu wyprowadzała w świat. Ale rozpacz smrodliwego zaułka tak długo biła głową o tę zapórę, aż rozluźniła jedną z poziomych, potężnych desek. My, chłopcy, dokonaliśmy reszty i wyważyli, wysunęli ciężką, omszałą deskę z osady. Tak zrobiliśmy wylom, otworzyliśmy okno na słońce. Stanąwszy nogą na desce, rzuconej jak most przez kałużę, mógł więzień podwórza w poziomej pozycji przecisnąć się przez szparę, która wypuszczała go w nowy, przewiewny i rozległy świat. Był tam wielki, zdziczały, stary ogród. Wysokie grusze, rozłożyste jabłonie rosły tu z rzadka potężnymi grupami, obsypane srebrnym szelestem, kipiącą siatką białawych połysków. Bujna, zmieszana, nie koszona trawa pokrywała puszystym kożuchem falisty teren. Były tam zwykle, trawiaste żdzbla łąkowe z pierzastymi kitami kłosów; były delikatne filigrany<sup>178</sup> dzikich pietruszek i marchwi; pomarszczone i szorstkie listki bluszczów i ślepych pokrzyw, pachnące mięta; lykowane, błyszczące babki, nakrapiane rdzą, wystrzelające kiśćmi grubej, czerwonej kaszy. Wszystko to, splecione i puszyste, przepojone było łagodnym powietrzem, podbite błękitnym wiatrem i napuszczone niebem. Gdy się leżało w trawie, było się przykrytym całą błękitną geografą obłoków i płynących kontynentów, oddychało się całą rozległą mapą niebios. Od tego obcowania z powietrzem liście i pędy pokryły się delikatnymi włoskami, miękkim nalotem puchu, szorstką szczecina haczków, jak gdyby dla chwytania i zatrzymywania przepływów tlenu. Ten nalot delikatny i białawy spokrewniał liście z atmosferą, dawał im srebrzysty, szary połysk fał powietrznych, cienistych zadumań między dwoma błyskami słońca. A jedna z tych roślin, żółta i pełna mlecznego soku w bladych łodygach, nadęta powietrzem, pędziła ze swych pustych pędów już samo powietrze, sam puch w kształcie pierzastych kul mlecznych rozsypywanych przez powiew i wsiąkających bezgłośnie w błękitną ciszę.

Ogród był rozległy i rozgałęziony kilku odnogami i miał różne strefy i klimaty. W jednej stronie był otwarty, pełen mleka niebios i powietrza, i tam podścielał niebu co najmiększą, najdelikatniejszą, najpuszystszą zieleń. Ale w miarę jak opadał w głąb długiej odnogi i zanurzał się w cień między tylną ścianą opuszczonej fabryki wody sodowej a długą walącą się ścianą stodoły, wyraźnie pochmurniał, stawał się opryskliwy i niedbały, zapuszczał się dziko i niechlujnie, srożył się pokrzywami, zjeżał bodiakami<sup>179</sup>, parszywił chwastem wszelkim, aż w samym końcu między ścianami, w szerokiej prostokątnej zatoce tracił wszelką miarę i wpadał w szał. Tam to nie był już sad, tylko paroksyzm szaleństwa, wybuch wściekłości, cyniczny bezwstyd i rozpusta. Tam, rozbestwione, dając upust swej pasji, panoszyły się puste, zdziczałe kapusty łopuchów — ogromne wiedźmy, rozdzielające się w biały dzień ze swych szerokich spódnic, zrzucając je z siebie, spódnica za spódnicą, aż ich wzdęte, szelestne, dziurawe lachmany oszalałymi płatami grzebały pod sobą kłótlive to plemię bękartie. A żarłoczne spódnice puchły i rozpychały się, piętrzyły się jedne na drugich, rozpieły i nakrywały wzajem, rosnąc razem wzdętą masą blach listnych, aż pod niski okap stodoły.

Tam to było, gdzieś go ujrzał jedyny raz w życiu, o nieprzytomnej od żaru godzinie południa. Była to chwila, kiedy czas, oszalały i dziki, wyłamuje się z kierunku zdarzeń i jak zbiegły włóczęga pędzi z krzykiem na przelaj przez pola. Wtedy lato, pozbawione kontroli, rośnie bez miary i rachuby na całej przestrzeni, rośnie z dzikim impetem na wszystkich punktach, w dwójnasób, w trójnasób, w inny jakiś wyrodny czas, w nieznaną dymensję<sup>180</sup>, w obłąd.

O tej godzinie opanował mnie szał łowienia motyli, pasja ścigania tych migocących plamek, tych błędnych białych płatków, trzęsących się w rozognionym powietrzu niedołącznym gzygakiem<sup>181</sup>. I zdarzyło się wówczas, że któraś z tych jaskrawych plamek

<sup>176</sup> *Gibraltar* — przylądek na południowym krańcu Półwyspu Iberyjskiego.

<sup>177</sup> *dyl* — belka.

<sup>178</sup> *filigran* — ornament z cienkich drucików.

<sup>179</sup> *bodiak* (reg.) — gatunek ostu.

<sup>180</sup> *dymensja* (z łac.) — wymiar.

<sup>181</sup> *gzygak* — dziś: zygzak.



rozpadła się w locie na dwie, potem na trzy — i ten drgający, oślepiająco biały trójpunkt wiodł mnie, jak błędny ogień, przez szal bodiaków, palących się w słońcu.

Dopiero na granicy łopuchów zatrzymałem się, nie śmiejąc się pogrążyć w to głuche zapadlisko.

Wtedy nagle ujrzałem go.

Zanurzony po pachy w łopuchach, kuczał przede mną.

Widziałem jego grube bary w brudnej koszuli i niechlujny strzęp surduta. Przyczajony jak do skoku, siedział tak — z barami jakby wielkim ciężarem zgarbionymi. Ciało jego dyszało z natężenia, a z miedzianej, błyszczącej w słońcu twarzy lał się pot. Nieruchomy, zdawał się ciężko pracować, mocować się bez ruchu z jakimś ogromnym brzemieniem.

Stałem, przygwoźdzony jego wzrokiem, który mnie ujął jakby w kleszcze.

Była to twarz włóczęgi lub pijaka. Wiecheć brudnych kłaków wicherzył się nad czołem wysokim i wypukłym jak buła kamienna, utoczona przez rzekę. Ale czoło to było skręcone w głębokie bruzdy. Nie wiadomo, czy ból, czy palący żar słońca, czy nadludzkie natężenie wkręciło się tak w tę twarz i napięło rysy do pęknięcia. Czarne oczy wbiły się we mnie z natężeniem najwyższej rozpacz czy bólu. Te oczy patrzyły na mnie i nie patrzyły, widziały mnie i nie widziały wcale. Były to pękające galki, wytężone najwyższym uniesieniem bólu albo dziką rozkoszą natchnienia.

I nagle z tych rysów, naciągniętych do pęknięcia, wyboczył się jakiś straszny, załamany cierpieniem grymas i ten grymas rósł, brał w siebie tamten obłęd i natchnienie, pęczniał nim, wybaczał się coraz bardziej, aż wyłamał się ryczącym, charczącym kaszlem śmiechu.

Do głębi wstrząśnięty, widziałem, jak hucząc śmiechem z potężnych piersi, dźwignął się powoli z kućki i zgarbiony jak goryl, z rękoma w opadających łachmanach spodni, uciekał, człapiąc przez łopocące blachy łopuchów, wielkimi skokami — Pan bez fletu; cofający się w popłochu do swych ojczystych kniei.

Cierpienie, Śmiech, Bóg,  
Natura

## Pan Karol

Po południu w sobotę mój wuj, Karol, wdowiec słomiany<sup>182</sup>, wybierał się pieszo do letniska, oddalonego o godzinę drogi od miasta, do żony i dzieci, które tam na wywczasach<sup>183</sup> bawiły<sup>184</sup>.

Od czasu wyjazdu żony mieszkanie było nie sprzątane, łóżko nie zaścielane nigdy. Pan Karol przychodził do mieszkania późną nocą, sponiewierany i spustoszony przez nocne pohulanki, przez które go wlokły te dni upalne i puste. Zmięta, chłodna, dziko rzucona pościel była dlań wówczas jakąś błogą przystanią, wyspą zbawczą, do której przypadał statkiem sił jak rozbitek, miotany wiele dni i nocy przez zburzone morze.

Omackiem, w ciemności, zapadał się gdzieś między białawe góry, pasma i zwały chłodnego pierza i spał tak w niewiadomym kierunku, na wspak, głową w dół, wbity ciemieniem w puszysty miąższ pościeli, jak gdyby chciał we śnie przewiercić, przewędrować na wskroś te rosnące nocą, potężne masywy pierzyn. Walczył we śnie z tą pościelą, jak pływak z wodą, ugniatał ją i miesił ciałem, jak ogromną dzieżę ciasta, w którą się zapadał, i budził się o szarym świetle zdyszany, obłany potem, wyrzucony na brzeg tego stosu pościeli, którego zmóc<sup>185</sup> nie mógł w ciężkich zapasach nocnych. Tak na pół wyrzucony z toni snu, wisiał przez chwilę nieprzytomny na krawędzi nocy, chwytając piersiami powietrze, a pościel rosła dokoła niego, puchła i nakisała<sup>186</sup> — i zarastała go znowu zwałem ciężkiego, białawego ciasta.

Spał tak do późnego przedpołudnia, podczas gdy poduszki układały się w wielką, białą, płaską równinę, po której wędrował uspokojony sen jego. Tymi białymi gościńcami powracał powoli do siebie, do dnia, do jawy — i wreszcie otwierał oczy, jak śpiący pasażer, gdy pociąg zatrzymuje się na stacji.

Mąż

Sen, Pijaństwo

<sup>182</sup>słomiany wdowiec (pot.) — mężczyzna, którego żona wyjechała np. na wakacje.

<sup>183</sup>wywczasasy — wczasy, wypoczynek.

<sup>184</sup>bawić (daw.) — przebywać.

<sup>185</sup>zmóc (daw.) — pokonać.

<sup>186</sup>nakisać — kisać.

W pokoju panował odstały półmrok z osadem wielu dni samotności i ciszy. Tylko okno kipiało od rannego rojowiska much i story płonęły jaskrawo. Pan Karol wyziewał ze swego ciała, z głębi jam cielesnych, resztki dnia wczorajszego. To ziewanie chwytalo go jak konwulsje, jak gdyby chciało go odwrócić na nice. Tak wyrzucał z siebie ten piasek, te ciężary — nie strawione streścianje dnia wczorajszego.

Ulżywszy sobie w ten sposób, i swobodniejszy, wciągał do notesu wydatki, kalkulował, obliczał i marzył. Potem leżał długo nieruchomy, ze szklanymi oczyma, które były koloru wody, wypukłe i wilgotne. W wodnistym półmroku pokoju, rozjaśnionym reflekssem dnia upalnego za storami, oczy jego jak małeńkie lusterka odbijały wszystkie błyszczące przedmioty: białe plamy słońca w szparach okna, złoty prostokąt stor, i powtarzały, jak kropla wody, cały pokój z ciszą dywanów i pustych krzesel.

Tymczasem dzień za storami<sup>187</sup> huczał coraz promienniejszym bzykaniem much oszalałych od słońca. Okno nie mogło pomieścić tego białego pożaru i story omdlewały od jasnych falowań.

Wtedy wywlekał się z pościeli i siedział jeszcze jakiś czas na łóżku, stękając bezwiednie. Jego trzydziestokilkoletnie ciało zaczynało skłaniać się do korpulencji<sup>188</sup>. W tym organizmie, nabrzmiwającym tłuszczem, znękanym od nadużyć płciowych, ale wciąż wzbierającym bujnymi sokami, zdawał się teraz z wolna dojrzewać w tej ciszy jego przyszły los.

Gdy tak siedział w bezmyślnym, wegetatywnym<sup>189</sup> osłupieniu, cały zamieniony w krążenie, w respirację<sup>190</sup>, w głębokie pulsowanie soków, rosła w głębi jego ciała, spoconego i pokrytego włosami w rozlicznych miejscach, jakaś niewiadoma, nie sformułowana przyszłość, niby potworna narośl, wyrastająca fantastycznie w nieznaną dymensję<sup>191</sup>. Nie przerażał się jej, gdyż czuł już swą tożsamość z tym niewiadomym a ogromnym, które miało nadejść, i rósł razem z nim bez sprzeciwu, w dziwnej zgodzie, zdrętwiały spokojną grozą, odpoznając przyszłego siebie w tych kolosalnych wykwitach, tych fantastycznych spiętrzeniach, które przed jego wzrokiem wewnętrznym dojrzywały. Jedno jego oko lekko wtedy zbaczało na zewnątrz, jak gdyby odchodziło w inny wymiar.

Potem z tych bezmyślnych otumanień, z tych zatraconych dali powracał znów do siebie i do chwili; widział swe stopy na dywanie, tłuste i delikatne jak u kobiety, i powoli wyjmował złote spinki z mankietów dziennej koszuli. Potem szedł do kuchni i znajdował tam w cieniściej kącie wiaderko wodą, krążek cichego, czujnego zwierciadła, które nań tam czekało — jedyna żywa i wiedząca istota w tym pustym mieszkaniu. Nalewał do miednicy wody i kosztował skórą jej mdłej i odstałej, słodkawej mokrości.

Długo i starannie robił toaletę, nie spiesząc się i włączając pauzy między poszczególne manipulacje.

To mieszkanie, puste i zapuszczone, nie uznawało go, te meble i ściany śledziły za nim z milczącą krytyką.

Czuł się, wchodząc w ich ciszę, jak intruz w tym podwodnym, zatopionym królestwie, w którym płynął inny, odrębny czas.

Otwierając własne szuflady, miał uczucie złodzieja i chodził mimo woli na palcach, bojąc się obudzić hałaśliwe nadmierne echo, czekające drażliwie na najlżejszą przyczynę, by wybuchnąć.

A gdy wreszcie, idąc cicho od szafy do szafy, znajdował kawałek po kawałku wszystko potrzebne i kończył toaletę wśród tych mebli, które tolerowały go w milczeniu, z nieobecna miną, i wreszcie był gotów, to stojąc na odejściu z kapeluszem w rękę, czuł się zażenowany, że i w ostatniej chwili nie mógł znaleźć słowa, które by rozwiązało to wrogie milczenie, i odchodził ku drzwiom zrezygnowany, z wolna, ze spuszczoną głową — gdy w przeciwną stronę oddalał się tymczasem bez pośpiechu — w głąb zwierciadła — ktoś odwrócony zawsze plecami — przez pustą amfiladę<sup>192</sup> pokoiów, które nie istniały.

<sup>187</sup>stori — zasłony.

<sup>188</sup>korpulencja — otyłość.

<sup>189</sup>wegetatywny — odpowiadający za podstawowe procesy fizjologiczne organizmów żywych.

<sup>190</sup>respiracja — oddychanie.

<sup>191</sup>dymensja (z łac.) — wymiar.

<sup>192</sup>amfilada — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi w jednej linii.

Dom, Obcy

Czas

Obcy

# Sklepy cynamonowe

W okresie najkrótszych, sennych dni zimowych, ujętych z obu stron, od poranku i od wieczora, w futrzane krawędzie zmierzchów, gdy miasto rozgałęziało się coraz głębiej w labirynty zimowych nocy, z trudem przywoływane przez krótki świt do opamiętania, do powrotu — ojciec mój był już zatracony, zaprzędany, zaprzysiężony tamtej sferze.

Twarz jego i głowa zarastały wówczas bujnie i dziko siwym włosom, sterczącym nieregularnie wiechciami, szczecinami, długimi pędzlami, strzelającymi z brodawek, z brwi, z dziurerek od nosa — co nadawało jego fizjonomii wygląd starego, nastroszonego lisa.

Węch jego i słuch zaostrzył się niepomierne i znać było po grze jego milczącej i napiętej twarzy, że za pośrednictwem tych zmysłów pozostaje on w ciągłym kontakcie z niewidzialnym światem ciemnych zakamarków, dziur mysich, zmurszałych przestrzeni pustych pod podłogą i kanałów kominowych.

Wszystkie chroboty, trzaski nocne, tajne, skrzypiące życie podłogi miały w nim nieomylnego i czujnego dostrzegacza, szpiega i współspiskowca. Absorbowało go to w tym stopniu, że pograżał się zupełnie w tej niedostępnej dla nas sferze, z której nie próbował zdawać nam sprawy.

Nieraz musiał strzepywać palcami i śmiać się cicho do siebie samego, gdy te wybryki niewidzialnej sfery stawały się zbyt absurdalne; porozumiewał się wówczas spojrzeniem z naszym kotem, który, również wtajemniczony w ten świat, podnosił swą cyniczną, zimną, porysowaną pręgami twarz, mrużąc z nudów i obojętności skośne szparki oczu.

Zdarzało się podczas obiadu, że wśród jedzenia odkładał nagle nóż i widelec i z serwetką zawiązaną pod szyją podnosił się kocim ruchem, skradał na brzuscach<sup>193</sup> palców do drzwi sąsiedniego, pustego pokoju i z największą ostrożnością zaglądał przez dziurkę od klucza. Potem wracał do stołu, jakby zawstydzony, z zakłopotanym uśmiechem, wśród mruknięć i niewyraźnych mamrotań, odnoszących się do wewnętrznego monologu, w którym był pograżony.

Ażeby mu sprawić pewną dystrakcję<sup>194</sup> i oderwać go od chorobliwych dociekań, wyciągała go matka na wieczorne spacerki, na które szedł, milcząc, bez oporu, ale i bez przekonania, roztargniony i nieobecny duchem. Raz nawet poszliśmy do teatru.

Znaleźliśmy się znowu w tej wielkiej, źle oświetlonej i brudnej sali, pełnej sennego gwaru ludzkiego i bezładnego zamętu. Ale gdy przebrnęliśmy przez ciżbę ludzką, wynurzyła się przed nami ogromna bładoniebieska kurtyna, jak niebo jakiegoś innego firmamentu<sup>195</sup>. Wielkie, malowane maski różowe, z wydętymi policzkami, nurzały się w ogromnym płóciennym przestworzu. To sztuczne niebo szerzyło się i płynęło wzdłuż i w poprzek, wzbierając ogromnym tchem patosu i wielkich gestów, atmosferą tego świata sztucznego i pełnego blasku, który budował się tam, na dudniących rusztowaniach sceny. Dreszcz płynący przez wielkie oblicze tego nieba, oddech ogromnego płótna, od którego rosły i ożywały maski, zdradzał iluzoryczność tego firmamentu, sprawiał to drganie rzeczywistości, które w chwilach metafizycznych odczuwamy jako migotanie tajemnicy.

Maski trzepotały czerwonymi powiekami, kolorowe wargi szeptały coś bezgłośnie i wiedziałem, że przyjdzie chwila, kiedy napięcie tajemnicy dojdzie do zenitu i wtedy wezbrane niebo kurtyny pięknie naprawdę, uniesie się i ukaże rzeczy niesłychane i olśniewające.

Lecz nie było mi dane doczekać tej chwili, albowiem tymczasem ojciec zaczął zdradzać pewne oznaki zaniepokojenia, chwytął się za kieszenie i wreszcie oświadczył, że zapomniał portfela z pieniędzmi i ważnymi dokumentami.

Po krótkiej naradzie z matką, w której uczciwość Adeli została poddana pośpiesznej, ryczałtowej ocenie, zaproponowano mi, żebym wyruszył do domu na poszukiwanie portfela. Zdaniem matki, do rozpoczęcia widowiska było jeszcze wiele czasu i przy mojej zwinności mogłem na czas powrócić.

Wyszedłem w noc zimową, kolorową od iluminacji nieba. Była to jedna z tych ja-

<sup>193</sup>brzusiec — wystająca, wypukła część, tu: czubek palca.

<sup>194</sup>dystrakcja (daw.) — rozrywka.

<sup>195</sup>firmament — niebo.

Ojciec, Szaleństwo, Zwierzę

Teatr

Noc, Miasto, Labirynt, Sen

nych nocy, w których firmament gwiezdny jest tak rozległy i rozgałęziony, jakby rozpadł się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do obdzielenia całego miesiąca nocy zimowych i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kłosami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów.

Jest lekkomyślnością nie do darowania wysłać w taką noc młodego chłopca z misją ważną i pilną, albowiem w jej półświecie zwielokrotniają się, płaczą i wymieniają jedne z drugimi ulice. Otwierają się w głębi miasta, żeby tak rzec, ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają swe miejsce i swą nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać wciąż nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowych zaczynają się zazwyczaj niewinnie od chętki skrócenia sobie drogi, użycia nie zwykłego, lecz przedszego przejścia. Powstają ponętne kombinacje przecięcia zawilej wędrówki jakąś nie wypróbowaną przecznicą. Ale tym razem zaczęło się inaczej.

Uszedłszy parę kroków, spostrzegłem, że jestem bez płaszcza. Chciałem zawrócić, lecz po chwili wydało mi się to niepotrzebną stratą czasu, gdyż noc nie była wcale zimna, przeciwnie — pożyczkowana strugami dziwnego ciepła, tchnieniami jakiejś fałszywej wiosny. Śnieg skurczył się w baranki białe, w niewinne i słodkie runo, które pachniało fiołkami. W takie same baranki rozpuściło się niebo, w którym księżyc dwoił się i troił, demonstrując w tym zwielokrotnieniu wszystkie swoje fazy i pozycje.

Niebo obnażało tego dnia swą konstrukcję w wielu jakby anatomicznych preparatach, pokazujących spirale i słoje światła, przekroje seledynowych brył nocy, plazmę<sup>196</sup> przestworzy, tkankę rojeń nocnych.

W taką noc niepodobna iść Podwalem ani żadną inną z ciemnych ulic, które są odwrotną stroną, niejako podszewką czterech linii rynku, i nie przypomnieć sobie, że o tej późnej porze bywają czasem jeszcze otwarte niektóre z owych osobliwych a tyle nęcących sklepów, o których zapomina się w dniu zwyczajne. Nazywam je sklepami cynamonowymi<sup>197</sup> dla<sup>198</sup> ciemnych boazerii tej barwy, którymi są wyłożone.

Te prawdziwie szlachetne handle, w późną noc otwarte, były zawsze przedmiotem moich gorących marzeń.

Słabo oświetlone, ciemne i uroczyste ich wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku<sup>199</sup>, kadzidla, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie<sup>200</sup>, szkatułki czarodziejskie, marki<sup>201</sup> krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki<sup>202</sup>, indygo<sup>203</sup>, kalafonium<sup>204</sup> z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry<sup>205</sup> i bazyliżki<sup>206</sup>, korzeń Mandragory<sup>207</sup>, norymberskie mechanizmy<sup>208</sup>, homunculusy<sup>209</sup> w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty<sup>210</sup> pełne przedziwnych rycin i oszałamiających historii.

Pamiętam tych starych i pełnych godności kupców, którzy obsługiwali klientów ze spuszczonej oczyma, w dyskretnym milczeniu, i pełni byli mądrości i wyrozumienia

Czary, Tajemnica, Handel

<sup>196</sup>plazma — tu: bezkształtna, nieokreślona materia.

<sup>197</sup>cynamon — egzotyczna przyprawa do słodkich potraw i napojów, dawniej bardzo cenna.

<sup>198</sup>dla (daw.) — z powodu.

<sup>199</sup>lak — topliwa, czerwono-brunatna substancja służąca do pieczętowania listów.

<sup>200</sup>ognie bengalskie — rodzaj fajerwerków.

<sup>201</sup>marka (daw.) — znaczek.

<sup>202</sup>odbijanka a. kalkomania — obrazek do przenoszenia na kartkę ze specjalnie przygotowanego papieru.

<sup>203</sup>indygo — cenny niebieski barwnik wyrabiany z indygowców, krzewów rosnących na Półwyspie Indyjskim.

<sup>204</sup>kalafonium a. kalafonia — przezroczysta substancja służąca do nacierania włosia smyczków instrumentów smyczkowych.

<sup>205</sup>salamandra — tu: mityczne stworzenie zamieszkujące żywioł ognia. Także: jaskrawo ubarwiony płaz przypominający jaszczurkę.

<sup>206</sup>bazyliżek — tu: mityczne stworzenie zabijające spojrzeniem, strażnik wielkich skarbów.

<sup>207</sup>korzeń mandragory — śródziemnomorska roślina, której korzeń przypomina kształtem człowieka. Z tego względu uważano ją za bardzo potężny środek magiczny, atrybut bóstw podziemnych. Wierzono, że wyrwana z ziemi wydaje z siebie zabójczy krzyk.

<sup>208</sup>norymberskie mechanizmy — od średniowiecza Norymberga jest jednym z głównych ośrodków produkcji zabawek i handlu nimi, zwłaszcza lalkami i domkami dla lalek.

<sup>209</sup>homunculus — miniaturowy, bezpłciowy człowieczek sztucznie stworzony w retorcji przez alchemika.

<sup>210</sup>foliant a. folial — gruba książka dużego formatu.

dla ich najtajniejszych życzeń. Ale nade wszystko była tam jedna księgarnia, w której raz oglądałem rzadkie i zakazane druki, publikacje tajnych klubów, zdejmując zasłoneżone z tajemnic dręczących i upojnych.

Tak rzadko zdarzała się sposobność odwiedzenia tych sklepów — i w dodatku z małą, lecz wystarczającą sumą pieniędzy w kieszeni. Nie można było pominąć tej okazji mimo ważności misji powierzonej naszej gorliwości.

Trzeba się było zapuścić według mego obliczenia w boczną uliczkę, minąć dwie albo trzy przecznice, ażeby osiągnąć ulicę nocnych sklepów. To oddalało mnie od celu, ale można było nadrobić spóźnienie wracając drogą na Żupy Solne.

Uskrzydłony pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skręciłem w wiadomą mi ulicę i leciałem więcej, aniżeli szedłem, bacząc, by nie zmylić drogi. Tak minąłem już trzecią czy czwartą przecznicę, a upragnionej ulicy wciąż nie było. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadała oczekiwanemu obrazowi. Sklepów ani śladu. Szedłem ulicą, której domy nie miały nigdzie bramy wchodowej<sup>211</sup>, tylko okna szczelnie zamknięte, ślepe odbłaskiem księżycy. Po drugiej stronie tych domów musi prowadzić właściwa ulica, od której te domy są dostępne — myślałem sobie. Z niepokojem przyspieszałem kroku, rezygnując w duchu z myśli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostać się stąd prędko w znane okolice miasta. Zbliżałem się do wylotu, pełen niepokoju, gdzie też ona mnie wyprowadzi. Wyszedłem na szeroki, rzadko zabudowany gościniec, bardzo długi i prosty. Owiął mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stały tam przy ulicy albo w głębi ogrodów malownicze wille, ozdobne budynki bogaczy. W przerwach między nimi widniały parki i mury sadów. Obraz przypominał z daleka ulicę Leszniąską w jej dolnych i rzadko zwiedzanych okolicach. Światło księżycy, rozpuszczone w tysiącnych barankach, w łuskach srebrnych na niebie, było blade i tak jasne jak w dzień — tylko parki i ogrody czerniały w tym srebrnym krajobrazie.

Przyjrawszy się bacznie jednemu z budynków, doszedłem do przekonania, że mam przed sobą tylną i nigdy nie widzianą stronę gmachu gimnazjalnego. Właśnie dochodziłem do bramy, która ku mojemu zdziwieniu była otwarta, sień oświetlona. Wszedłem i znalazłem się na czerwonym chodniku korytarza. Miałem nadzieję, że zdołam nie spostrzeżony przekraść się przez budynek i wyjść przednią bramą, skracając sobie znakomicie drogę.

Przypomniałem sobie, że o tej późnej godzinie musi się w sali profesora Arendta odbywać jedna z lekcji nadobowiązkowych, prowadzona w późną noc, na które zbieraliśmy się zimową porą, płonąc szlachetnym zapalem do ćwiczeń rysunkowych, jakim natchnął nas ten znakomity nauczyciel.

Mała gromadka pilnych gubiła się prawie w wielkiej ciemnej sali, na której ścianach ogromniały i łamały się cienie naszych głów, rzucane od dwóch małych świeczek płonących w szyjkach butelek.

Prawdę mówiąc, niewieleśmy podczas tych godzin rysowali i profesor nie stawiał zbyt ścisłych wymagań. Niektórzy przynosili sobie z domu poduszki i układali się na ławkach do powierzchownej drzemki. I tylko najpilniejsi rysowali pod samą świecą, w złotym kręgu jej blasku.

Czekaliśmy zazwyczaj długo na przyjście profesora, nudząc się wśród sennych rozmów. Wreszcie otwierały się drzwi jego pokoju i wchodził — mały, z piękną brodą, pełen ezoterycznych<sup>212</sup> uśmiechów, dyskretnych przemilczeń i aromatu tajemnicy. Szybko zaciskał za sobą drzwi gabinetu, przez które w momencie otworzenia toczyła się za jego głową ciżba gipsowych cieni, fragmentów klasycznych, bolesnych Niobid<sup>213</sup>, Danaid<sup>214</sup>

<sup>211</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy.

<sup>212</sup>ezoteryczny — dostępny tylko dla wtajemniczonych.

<sup>213</sup>Niobida rzymska — sławna rzeźba attycka z V w. p.n.e., przedstawiająca umierającą córkę Niobe, zabita wraz ze swoim rodzeństwem przez Artemidę i Apolla, którzy w ten sposób chcieli pomścić Latonę, swoją matkę, którą Niobe obraziła przechwalając się większą liczbą dzieci.

<sup>214</sup>Danaida — rzeźba Augusta Rodina z 1885 roku, przedstawia jedną z pięćdziesięciu córek Danaosa, które w noc poślubną zabiły swoich mężów, za co zostały skazane na wieczne męki w Tartarze.

Szkoła, Noc

Szkoła, Tajemnica, Noc

i Tantalidów<sup>215</sup>, cały smutny i jałowy Olimp<sup>216</sup>, wędnący od lat w tym muzeum gipsów. Zmierzch tego pokoju mętniał i za dnia przelewał się sennie od gipsowych marzeń, pustych spojrzeń, błędnych owali i zamyśleń odchodzących w nicość. Lubiliśmy nieraz podsłuchiwać pod drzwiami — ciszy, pełnej westchnień i szeptów tego kruszejącego w pajęczynach rumowiska, tego rozkładającego się w nudzie i monotonii zmierzchu bogów.

Profesor przechadzał się dostojnie, pełen namaszczenia, wzdłuż pustych ławek, wśród których, rozrzućeni małymi grupkami, rysowaliśmy coś w szarym odbłasku nocy zimowej. Było zacisznie i sennie. Gdzieś koledzy moi układali się do snu. Świeczki powoli dogasały w butelkach. Profesor pogrązał się w głęboką witrynę, pełną starych foliów, staromodnych ilustracji, sztychów i druków. Pokazywał nam wśród ezoterycznych gestów stare litografie<sup>217</sup> wieczornych pejzaży, gęstwiny nocne, aleje zimowych parków, czerniejące na białych drogach księżycowych.

Wśród sennych rozmów upływał niepostrzeżenie czas i biegł nierównomiernie, robiąc niejako węzły w upływie godzin, połykając kędyś całe puste interwały<sup>218</sup> trwania. Niepostrzeżenie, bez przejścia, odnajdywaliśmy naszą czeredę już w drodze powrotnej na białej od śniegu ścieżce szpaleru, flankowanej<sup>219</sup> czarną, suchą gęstwiną krzaków. Szliśmy wzdłuż tego włochatego brzegu ciemności, ocierając się o niedźwiedzie futro krzaków, trzaskających pod naszymi nogami w jasną noc bezksiężycową, w mleczny, fałszywy dzień, daleko po północy. Rozprószone w biel tego światła, mżąc ze śniegu, z bladego powietrza, z mlecznych przestworzy, była jak szary papier sztychu, na którym głęboką czernią plątały się kreski i szrafirunki<sup>220</sup> gęstych zarośli. Noc powtarzała teraz głęboko po północy te serie nokturnów<sup>221</sup>, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje.

W tej czarnej gęstwinie parku, we włochatej sierści zarośli, w masie kruchego chrustu były miejscami nisze, gniazda najgłębszej puszystej czarnośći, pełne płataniny, sekretnych gestów, bezładnej rozmowy na migi. Było w tych gniazdach zacisznie i ciepło. Siadaliśmy tam na letnim, miękkim śniegu w naszych włochatych płaszczach, zjadając orzechy, których pełna była leszczynowa ta gęstwiną w ową wiosenną zimę. Przez zarośla przewijały się bezgłośnie kuny, lasice i ichneumony<sup>222</sup>, futrzane, węszące zwierzątka, śmierdzące kożuchem, wydłużone, na niskich łapkach. Podejrzewaliśmy, że były między nimi okazy gabinetu szkolnego, które, choć wypatroszone i łysiejące, uczuwały w tę białą noc w swym pustym wnętrzu głos starego instynktu, głos rui, i wracały do matecznika na krótki, żłudny żywot.

Ale powoli fosforescencja<sup>223</sup> wiosennego śniegu mętniała i gasła i nadchodziła czarna i gęsta oćma<sup>224</sup> przed świtem. Niektórzy z nas zasypiali w ciepłym śniegu, inni domacywali się w gęstwinie bram swych domów, wchodzili omackiem do ciemnych wnętrzy, w sen rodziców i braci, w dalszy ciąg głębokiego chrapania, które doganiali na swych spóźnionych drogach.

Te nocne seanse pełne były dla mnie tajemnego uroku, nie mogłem i teraz pominąć sposobności, by nie zaglądnąć na moment do sali rysunkowej, postanawiając, że nie pozwolę się tam zatrzymać dłużej nad krótką chwilę. Ale wstępując po tylnych, cedrowych schodach, pełnych dźwięcznego rezonansu, poznałem, że znajduję się w obcej, nigdy nie widzianej stronie gmachu.

Najbliższy szmer nie przerywał tu solennej ciszy. Korytarze były w tym skrzydle ob-

Szkoła, Labirynt, Noc

<sup>215</sup>Tantalidzi — mit. grec. dzieci Tántala: Niobe (matka dzieci zabitych za jaj pychę przez Apolla i Artemidę, zamieniła się w kamień), Pelopsa (zabity przez ojca i podany bogom na uczenie, wskrzeszony na życzenie Zeusa) i Broteasa (doprowadzonego do szaleństwa przez Artemidę, której nie chciał okazać czci), często przedstawiani w sztuce klasycznej i nowożytnej.

<sup>216</sup>Olimp (mit. gr.) — siedziba najważniejszych bogów.

<sup>217</sup>litografia — technika graficzna, polegająca na odbijaniu matrycy wytrawionej kwasem w kamieniu.

<sup>218</sup>interwał — tu: przerwa.

<sup>219</sup>flankowany — oskrzydłony.

<sup>220</sup>szrafirunek — technika rysunku polegająca na tworzeniu obrazu poprzez rysowanie równoległych lub przecinających się kresek (szrafów).

<sup>221</sup>nokturn — spokojny, oddający atmosferę nocy utwór instrumentalny, poetycki lub obraz.

<sup>222</sup>ichneumon a. mangusta — małe zwierzę drapieżne żyjące w Afryce i Azji Mniejszej.

<sup>223</sup>fosforescencja — świecenie po uprzednim naświetleniu.

<sup>224</sup>oćma — ciemność.

szerniejsze, wysłane pluszowym dywanem i pełne wytworności. Małe, ciemno płonące lampy świeciły na ich zagięciach. Minawszy jedno takie kolano, znalazłem się na korytarzu jeszcze większym, strojnym w przepych pałacowy. Jedna jego ściana otwierała się szerokimi szklanymi arkadami<sup>225</sup> do wnętrza mieszkania. Zaczynała się tu przed oczyma długa amfilada<sup>226</sup> pokoi, biegnących w głąb i urządzonych z olśniewającą wspaniałością. Szpalerem obić jedwabnych, luster złożonych, kosztownych mebli i kryształowych pajęczków biegł wzrok w puszysty miąższ tych zbytkownych wnętrz, pełnych kolorowego wirowania i migotliwych arabesek<sup>227</sup>, płaczących się girland i pączkujących kwiatów. Głęboka cisza tych pustych salonów pełna była tylko tajnych spojrzeń, które oddawały sobie zwierciadła, i popłochu arabesek, biegnących wysoko fryzami wzdłuż ścian i gubiących się w sztukateriach białych sufitów.

Z podziwem i czcią stałem przed tym przepychem, domyślałem się, że nocna moja eskapada zaprowadziła mnie niespodzianie w skrzydło dyrektora, przed jego prywatne mieszkanie. Stałem przygwożdżony ciekawością, z bijącym sercem, gotów do ucieczki za najłżejszym szmerem. Jakże mógłbym, przyłapany, usprawiedliwić to moje nocne szpiegowanie, moje zuchwałe wścibstwo? W którymś z głębokich pluszowych foteli mogła, nie dostrzeżona i cicha, siedzieć córeczka dyrektora i podnieść nagle na mnie oczy znad książki — czarne, sybilińskie<sup>228</sup> oczy, których spojrzenia nikt z nas wytrzymać nie umiał. Ale cofnąć się w połowie drogi, nie dokonawszy powziętego planu, przeczytałbym był sobie za tchórzostwo. Zresztą głęboka cisza panowała dookoła w pełnych przepychu wnętrzach, oświetlonych światłem nieokreślonej pory. Przez arkady korytarza widziałem na drugim końcu wielkiego salonu duże, oszklone drzwi, prowadzące na taras. Było tak cicho wokoło, że nabrałem odwagi. Nie wydawało mi się to połączone ze zbyt wielkim ryzykiem zejść z paru stopni, prowadzących do poziomu sali, w kilku susach przebiegnąć wielki, kosztowny dywan i znaleźć się na tarasie, z którego bez trudu dostać się mogłem na dobrze mi znaną ulicę.

Uczyniłem tak. Zeszedłszy na parkiety salonu, pod wielkie palmy, wystrzelające tam z wazonów aż do arabesek sufitu, spostrzegłem, że znajduję się już właściwie na gruncie neutralnym, gdyż salon nie miał wcale przedniej ściany. Był on rodzajem wielkiej loggii<sup>229</sup>, łączącej się przy pomocy paru stopni z placem miejskim. Była to niejako odnoga tego placu i niektóre meble stały już na bruku. Zbiegłem z kilku kamiennych schodów i znalazłem się znów na ulicy.

Konstelacje<sup>230</sup> stały już stromo na głowie, wszystkie gwiazdy przekreśliły się na drugą stronę, ale księżyc, zagrzebany w pierzyny obłoczków, które rozświetlał swą niewidzialną obecnością, zdawał się mieć przed sobą jeszcze nieskończoną drogę i, zatopiony w swych zawitych procederach niebieskich, nie myślał o świcie.

Na ulicy czerniało kilka dorożek, rozjechanych i rozklekotanych jak kalekie, drzemiące kraby czy karakony<sup>231</sup>. Woźnica nachylił się z wysokiego kozła. Miał twarz drobną, czerwoną i dobroduszną. — Pojedziemy, paniczku? — zapytał. Powóz zadygotał we wszystkich stawach i przegubach swego wieloczłonkowego ciała i ruszył na lekkich obręczach.

Ale kto w taką noc powierza się kaprysom nieobliczalnego dorożkarza? Wśród klekotu szprych, wśród dudnienia pudła i budy nie mogłem porozumieć się z nim co do celu drogi. Kiwał na wszystko niedbale i pobłażliwie głową i podśpiewywał sobie, jadąc drogą okrężną przez miasto.

Przed jakimś szynkiem stała grupa dorożkarzy, kiwając nań przyjaźnie rękami. Odpowiedział im coś radośnie, po czym, nie zatrzymując pojazdu, rzucił mi lejce na kolana, spuścił się z kozła i przyłączył do gromady kolegów. Koń, stary mądry koń dorożkarski, oglądnął się pobieżnie i pojechał dalej jednostajnym, dorożkarskim kłusem. Właściwie

<sup>225</sup> *arkada* — luk opierający się na dwóch kolumnach.

<sup>226</sup> *amfilada* — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi w jednej osi.

<sup>227</sup> *arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych.

<sup>228</sup> *sybiliński* — tajemniczy; Sybilla (mit. rzym.) — wieszczka, autorka ksiąg sybilińskich, w których były zapisane przyszłe losy Rzymu. Senat Rzymu w chwilach największego zagrożenia dla państwa wielokrotnie sięgał po przepowiednie z ksiąg sybilińskich.

<sup>229</sup> *loggia* a. *lodžia* — otwarte na zewnątrz pomieszczenie ograniczone arkadami.

<sup>230</sup> *konstelacja* — gwiazdozbiór.

<sup>231</sup> *karakon* (daw.) — karaluch.

koń ten budził zaufanie — wydawał się mądrzejszy od woźnicy. Ale powozić nie umiałem — trzeba się było zdać na jego wolę. Wjechaliśmy na podmiejską ulicę ujętą z obu stron w ogrody. Ogrody te przechodziły z wolna, w miarę posuwania się, w parki wielkodrzewne, a te w lasy.

Nie zapomnę nigdy tej jazdy świetlistej w najjaśniejszą noc zimową. Kolorowa mapa niebios wyogromniała w kopułę niezmierną, na której spiętrzyły się fantastyczne lądy, oceany i morza, porysowane liniami wirów i prądów gwiazdnych, świetlistymi liniami geografii niebieskiej. Powietrze stało się lekkie do oddychania i świetlane jak gaza srebrna. Pachniało fiołkami. Spod wełnianego jak białe karakuły<sup>232</sup> śniegu wychylały się anemony drżące, z iskrą światła księżycowego w delikatnym kielichu. Las cały zdawał się iluminować tysiącnymi światłami, gwiazdami, które rzęsiście ronił grudniowy firmament. Powietrze dyszało jakąś tajną wiosną, niewypowiedzianą czystością śniegu i fiołków. Wjechaliśmy w teren pagórkowaty. Linie wzgórzy, włochatych nagimi różgami drzew, podnosiły się jak błogie westchnienia w niebo. Ujrzałem na tych szczęśliwych zboczach całe grupy wędrowców, zbierających wśród mchu i krzaków opadłe i mokre od śniegu gwiazdy. Droga stała się stroma, koń poślizgiwał się i z trudem ciągnął pojazd, grający wszystkimi przegubami. Byłem szczęśliwy. Pierś moja wchłaniała tę błogą wiosnę powietrza, świeżość gwiazd i śniegu. Przed piersią konia zbierał się wał białej piany śnieżnej, coraz wyższy i wyższy. Z trudem przekopywał się koń przez czystą i świeżą jego masę. Wreszcie ustał. Wyszedłem z dorożki. Dyszał ciężko ze zwieszoną głową. Przytuliłem jego łeb do piersi, w jego wielkich oczach lśniły łzy. Wtedy ujrzałem na jego brzuchu okrągłą czarną ranę. — Dlaczego mi nie powiedziałaś? — szepnąłem ze łzami. — Drogi mój — to dla ciebie — rzekł i stał się bardzo mały, jak konik z drzewa. Opuściłem go. Czulem się dziwnie lekki i szczęśliwy. Zastanawiałem się, czy czekać na małą kolejkę lokalną, która tu zajeżdżała, czy też pieszo wrócić do miasta. Zacząłem schodzić stromą serpentyną<sup>233</sup> wśród lasu, początkowo idąc krokiem lekkim, elastycznym, potem, nabierając rozpędu, przeszedłem w posuwisty szczęśliwy bieg, który zmienił się wnet w jazdę na nartach. Mogłem do woli regulować szybkość, kierować jazdą przy pomocy lekkich zwrotów ciała.

W pobliżu miasta zahamowałem ten bieg triumfalny, zamieniając go w przyzwoity krok spacerowy. Księżyc stał jeszcze ciągle wysoko. Transformacje nieba, metamorfozy jego wielokrotnych sklepień w coraz kunsztowniejsze konfiguracje nie miały końca. Jak srebrne astrolabium<sup>234</sup> otwierało niebo w tę noc czarodziejską mechanizm wnętrza i ukazywało w nieskończonych ewolucjach zlocistą matematykę swych kół i trybów.

Na rynku spotkałem ludzi zażywających przechadzki. Wszyscy, oczarowani widowiskiem tej nocy, mieli twarze wzniesione i srebrne od magii nieba. Troska o portfel opuściła mnie zupełnie. Ojciec, pogrążony w swych dziwactwach, zapewne zapomniał już o zgubie, o matkę nie dbałem.

W taką noc, jedyną w roku, przychodzą szczęśliwe myśli, natchnienia, wieszczę<sup>235</sup> tknięcia palca bożego. Pełen pomysłów i inspiracji, chciałem skierować się do domu, gdy zaszli mi drogę koledzy z książkami pod pachą. Zbyt wcześnie wyszli do szkoły, obudzeni jasnością tej nocy, która nie chciała się skończyć.

Poszliśmy gromadą na spacer stromo spadającą ulicą, z której wiał powiew fiołków, niepewni, czy to jeszcze magia nocy srebrzyła się na śniegu, czy też świt już wstawał...

## Ulica krokodyli

Mój ojciec przechowywał w dolnej szufladzie swego głębokiego biurka starą i piękną mapę naszego miasta.

<sup>232</sup>karakul — futro z jagniąt.

<sup>233</sup>serpentyzna — stroma górską drogą o wielu zakrętach.

<sup>234</sup>astrolabium — dawny przyrząd astronomiczny służący do wyznaczania pozycji gwiazd.

<sup>235</sup>wieszczy — tu: proroczy.

Noc, Podróż, Czary, Sen

Koń, Czary, Sen

Świt, Zima, Uczeń, Szkoła,  
Sen, Czary

Miasto



Był to cały wolumen in folio<sup>236</sup> pergaminowych kart, które, pierwotnie spojone skrawkami płótna, tworzyły ogromną mapę ścienną w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy.

Zawieszona na ścianie, zajmowała niemal przestrzeń całego pokoju i otwierała daleki widok na całą dolinę Tyśmienicy<sup>237</sup>, wijącej się falisto bladą złotą wstęgą, na całe pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na pofałdowane przedgórze, ciągnące się ku południowi, naprzód z rzadka, potem coraz tłumniejszymi pasmami, szachownicą okrągławych wzgórz, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarę jak odchodziły ku złotawej i dymnej mgłę horyzontu. Z tej zwiędłej dali peryferii wynurzało się miasto i rosło ku przodowi, naprzód jeszcze w nie zróżnicowanych kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzecinanych parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrębnić się w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostrą wyrazistością widoków oglądanych przez lunetę. Na tych bliższych planach wydobył sztycharz cały zawikłany i wieloraki zgiełk ulic i zaułków, ostrą wyrazistość gzymsów, architrawów<sup>238</sup> i pilastrów<sup>239</sup>, świecących w późnym i ciemnym złocie pochmurnego popołudnia, które pograża wszystkie załomy i framugi w głębokiej sepii<sup>240</sup> cienia. Bryły i pryzmy tego cienia wcinały się, jak plastry ciemnego miodu, w wąwozy ulic, zatapiały w swej ciepłej, soczystej masie tu całą połowę ulicy, tam wyłom między domami, dramatyzowały i orkiestrowały ponurą romantyką cieni tę wieloraką polifonię<sup>241</sup> architektoniczną.

Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych prospektów, okolica ulicy Krokodylej świeciła pustą bielą, jaką na kartach geograficznych zwykło się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej egzystencji. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym piśmie, w odróżnieniu od szlachetnej antykwii<sup>242</sup> innych napisów. Widocznie kartograf wzbraniał się uznać przynależność tej dzielnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym odrębnym i postponującym<sup>243</sup> wykonaniu.

Aby zrozumieć tę rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwuznaczny i wątpliwy charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasadniczego tonu całego miasta.

Był to dystrykt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jaskrawo charakterem trzeźwej użyteczności. Duch czasu, mechanizm ekonomii nie oszczędził i naszego miasta i zapuścił chciwe korzenie na skrawku jego peryferii, gdzie rozwinął się w pasożytniczą dzielnicę.

Kiedy w starym mieście panował wciąż jeszcze nocny, pokątny handel, pełen solennej ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęły się od razu nowoczesne, trzeźwe formy komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zaszczerpiony na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujną, lecz pustą i bezbarwną roślinnością tandetnej, lichej pretensjonalności. Widziało się tam tanie, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, oblepione monstrualnymi sztukateriami z popękane gipsu. Stare, krzywe domki podmiejskie otrzymały szybko sklecone portale<sup>244</sup>, które dopiero bliższe przyjrzenie demaskowało jako nędzne imitacje wielkomiejskich urządzeń. Wadliwe, mętne i brudne szyby, łamiące w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nie heblowane drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrzy, osiadających pajęczyną i kłakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszących się ścian, wyciskały tu, na sklepkach, piętno dzikiego Klondike'u<sup>245</sup>. Tak ciągnęły się jeden za drugim magazyny krawców, konfekcje, składy porcelany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich, wielkie szyby wystawowe nosiły ukośnie lub w półkolu biegnące napisy ze złożonych plastycznie liter: *CONFISERIE*, *MANICURE*, *KING OF ENGLAND*.

Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zamieszkiwanej przez

Labirynt

Miasto

Handel, Miasto

Miasto, Handel, Chciwość,  
Interes, Fałsz

Fałsz, Grzech, Miasto,  
Upadek

<sup>236</sup>wolumen in folio a. foliat — gruba książka dużego formatu.

<sup>237</sup>Tyśmienica — dopływ Wieprza.

<sup>238</sup>architrav — spoczywająca bezpośrednio na głowicy kolumny dolna część belkowania.

<sup>239</sup>pilaster — płaski, ozdobny filar wbudowany w ścianę.

<sup>240</sup>sepia — barwnik ciemnobrunatny.

<sup>241</sup>polifonia — tu: wielość stylów.

<sup>242</sup>antykwia — krój pisma.

<sup>243</sup>postponujący — lekceważący.

<sup>244</sup>portal — wejście.

<sup>245</sup>Klondike — kanadyjska rzeka w Jukonie, jeden z głównych ośrodków amerykańskiej gorączki złota.

szumowiny, przez gmin, przez kreatury bez charakteru, bez gęstości, przez istną lichotę moralną, tę tandetną odmianę człowieka, która rodzi się w takich efemerycznych<sup>246</sup> środowiskach. Ale w dniach upadku, w godzinach niskiej pokusy zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabląkiwał się na wół przypadkiem w tę wątpliwą dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic i hierarchii, pławienia się w tym płytkim błocie wspólnoty, łatwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnica ta była eldoradem<sup>247</sup> takich dezertów moralnych, takich zbiegów spod sztandaru godności własnej. Wszystko zdawało się tam podejrzane i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykułowanym gestem, wyraźnie przymrużonym perskim okiem — do nieczystych nadziei, wszystko wyzwało z pęt niską naturę.

Mało kto, nie uprzedzony, spostrzegł dziwną osobliwość tej dzielnicy: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w pośpiechu wyrosłym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystko tam było szare jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowanych prospektach. Podobieństwo to wychodziło poza zwykłą metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercyjnych ogłoszeń, wśród których zagnieździły się pasożytniczo podejrzane anonse, drażliwe notatki, wątpliwe ilustracje; i wędrowki te były równie jałowe i bez rezultatu jak ekscytacje fantazji, pędzonej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków.

Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie — ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty, bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe półki wznoszą się jedne nad drugimi w nieokreśloną wysokość tej hali. Kondygnacje pustych półek wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebem — lichym, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pełne są aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromną kartoteką, która rozpada się w górze, pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturę<sup>248</sup> pustki, w jałowy budulec nicości. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi światło, gdyż przestrzeń sklepu już napełniona jest, jak wodą, indyferentną<sup>249</sup> szarą poświatą, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakiś smukły młodzieniec, zadziwiająco usłużny, giętki i nieodporny, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas tanią i łatwą wymową subiekta<sup>250</sup>. Ale gdy, gadając, rozwija ogromne postawy<sup>251</sup> sukna, przymierza, fałduje i drapuje nie kończąc się strugę materiału, przepływającą przez jego ręce, formując z jego fal iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zarzuconą zasłoną na prawdziwy sens sprawy.

Panienci sklepowe, smukłe i czarne, każda z jakąś skazą piękności (charakterystyczną dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzi i wychodzi, stają w drzwiach magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma (powierzona doświadczonym rękom subiekta) dojrze do punktu właściwego. Subiekt przymila się i kryguje<sup>252</sup> i chwilami robi wrażenie transwestyty<sup>253</sup>. Chciałoby się go ująć pod miękko zarysowaną brodę lub uszczypnąć w upudrowany, blade policzki, gdy z porozumiewawczym półspojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną towaru, markę o przejrzystej symbolice.

Z wolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji<sup>254</sup> i zepsuty młodzieniec, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwa teraz przed oczyma osobliwe marki ochronne, całą bibliotekę znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Pokazywało się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych

Falsz, Miasto, Handel

Falsz, Handel

Seks

<sup>246</sup>efemeryczny — krótkotrwały, ulotny.

<sup>247</sup>eldorado — legendarny kraj, w którym złoto było tak powszechne, że tubylcy nie uważali go za cenne.

<sup>248</sup>kubatura — pojemność.

<sup>249</sup>indyferentny — bierny.

<sup>250</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie.

<sup>251</sup>postaw (daw.) — jednostka miary stosowana do tkanin.

<sup>252</sup>krygować się — wdziaczyć się, zachowywać się w sposób przesadnie skromny.

<sup>253</sup>transwestyta — osoba za pomocą stroju wyrażająca identyfikację z płcią przeciwną.

<sup>254</sup>efeminacja (z łac.) — zniewieszczenie.

wydawnictw i druków prywatnych. Usłużny subiekt otwiera dalsze składy, wypełnione aż po sufit książkami, rycinami, fotografiami. Te winiety<sup>255</sup>, te ryciny przechodzą stokrotnie najśmielsze nasze marzenia. Takich kulminacji zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwaliśmy nigdy.

Panienki sklepowe przesuwają się coraz częściej pomiędzy szeregami książek, szare i papierowe jak ryciny, ale pełne pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek o lśniącej i tłustej czarności, która, zaczajona w oczach, z nagle wybiegła z nich zygżakiem lśniącego karakoniego<sup>256</sup> biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatach pieprzyków, we wstydliwych znamionach ciemnego puszkę zdradzała się rasa zapiekłej, czarnej krwi. Ten barwik o nazbyt intensywnej mocy, ta mokka<sup>257</sup> gęsta i aromatyczna zdawała się płamić książki, które brały one do oliwkowej dłoni, ich dotknięcia zdawały się je farbować i zostawiać w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka<sup>258</sup> o podniecającej, animalnej<sup>259</sup> woni. Tymczasem powszechna rozwiązłość zrzucała coraz bardziej hamulce pozorów. Subiekt, wyczerpawszy swą natarczywą aktywność, przechodził powoli do kobiecej bierności. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porozstawianych wśród rejonów książek, w jedwabnej piżamie, odsłaniającej kobiecy dekolt. Panienki demonstrują, jedna przed drugą, figury i pozycje rycin okładkowych, inne zasypiają już w prowizorycznych posłaniach. Nacisk na klienta rozluźniał się. Wypuszczano go z kręgu natarczywego zainteresowania, pozostawiono sobie samemu. Subiektki, zajęte rozmową, nie zwracały nań więcej uwagi. Odwrócone do niego tyłem lub bokiem, przystawały w aroganckim kontrapoście<sup>260</sup>, przestępowały z nogi na nogę, grając kokieteryjnym obuwem, przepuszczały z góry na dół po smukłym ciele węzową grę członków, atakując nią spoza swej niedbalej nieodpowiedzialności podnieconego widza, którego ignorowały. Tak cofano się, wsuwano w głąb z wyrachowaniem, otwierając wolną przestrzeń dla aktywności gościa. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, ażeby wymknąć się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostać się na ulicę.

Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze książek, pomiędzy długimi regałami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteśmy w tym miejscu ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widać niemal całą długość tego szerokiego traktu aż do dalekich, nie wykończonych zabudowań dworca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i cała sceneria wydaje się chwilami fotografią z ilustrowanej gazety, tak szare, tak płaskie są domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistość jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza swą imitatywność<sup>261</sup>. Chwilami ma się wrażenie, że tylko na małym skrawku przed nami układa się wszystko przykładowo w ten pointowany obraz bulwaru wielkomiejskiego, gdy tymczasem już na bokach rozwiązuje się i rozprzęga ta zaimprovizowana maskarada i, niezdolna wytrwać w swej roli, rozpada się w gips i pakuly, w rupieciarnię jakiegoś ogromnego, pustego teatru. Napięcie pozy, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drży na tym naskórku. Ale dalecy jesteśmy od chęci demaskowania widowiska. Wbrew lepszej wiedzy czujemy się wciągnięci w tandetny czar dzielnicy. Zresztą nie brak w obrazie miasta i pewnych cech autoparodii. Rzędy małych, parterowych domków podmiejskich zmieniają się z wielopiętrowymi kamienicami, które, zbudowane jak z kartonu, są konglomeratem<sup>262</sup> sztyldów, ślepych okien biurowych, szklistoszarych wystaw, reklam i numerów. Pod domami płynie rzeka tłumy. Ulica jest szeroka jak bulwar wielkomiejski, ale jezdnia, jak place wiejskie, zrobiona jest z ubitej gliny, pełna wybojów, kałuż i trawy. Ruch uliczny dzielnicy służy do porównań w tym mieście, mieszkańcy mówią o nim z dumą i porozumiewawczym błyskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tłum jest nader przejęty swą rolą i pełen gorliwości w demonstrowaniu

Kobieta demoniczna,  
Kobieta "upadła"

Labirynt

Teatr, Theatrum mundi,  
Falsz, Miasto, Labirynt

Tłum, Lalka

<sup>255</sup>winieta — ozdobna kompozycja graficzna rozdzielająca poszczególne części książki lub czasopisma (rozdziały, artykuły, czasem strony), często umieszczana też na stronie tytułowej lub okładce.

<sup>256</sup>karakoni — karaluszy.

<sup>257</sup>mokka — kawa.

<sup>258</sup>purchawka — grzyb o kulistym owocniku wypełnionym zarodnikami w postaci ciemnego proszku, rozpylającego się po przebicciu owocnika.

<sup>259</sup>animalny — zwierzęcy.

<sup>260</sup>kontrapost — pozycja ciała, w której jego ciężar opiera się głównie na jednej nodze.

<sup>261</sup>imitatywność — naśladownictwo.

<sup>262</sup>konglomerat — zespół różnorodnych elementów.

wielkomięskiego pozoru. Wszelako, mimo zaaferowania i interesowności, ma się wrażenie błędnej, monotonnej, bezcelowej wędrówki, jakiegoś sennego korowodu marionetek. Atmosfera dziwnej błahości przenika tę całą scenę. Tłum płynie monotonnie i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby niewyraźnie, figury przepływają w splątanych, łagodnym zgiełku, nie dochodząc do zupełnej wyrazistości. Czasem tylko wylawiamy z tego gwaru wielu głów jakieś ciemne, żywe spojrzenie, jakiś czarny melonik nasunięty głęboko na głowę, jakieś pół twarzy rozdarte uśmiechem, z ustami, które właśnie coś powiedziały, jakąś nogę wysuniętą w kroku i tak już zastygają na zawsze.

Osobliwością dzielnicy są dorożki bez woźniców, biegnące samopas po ulicach. Nie jakoby nie było tu dorożkarzy, ale wmieszani w tłum i zajęci tysiącem spraw, nie troszczą się o swe dorożki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywiązuje się zbytnej wagi do ścisłego celu jazdy i pasażerowie powierzają się tym błędnym pojazdom z lekomyślnością, która cechuje tu wszystko. Nieraz można ich widzieć na niebezpiecznych zakrętach, wychylonych daleko z połamanej budy, jak z lejcami w dłoniach przeprowadzają z natężeniem trudny manewr wymijania.

Mamy w tej dzielnicy także tramwaje. Ambicja rajców miejskich święci tu najwyższy swój triumf. Ale pożałowania godny jest widok tych wozów, zrobionych z *papier-mâché*<sup>263</sup>, o ścianach powyginanych i zmiętych od wieloletniego użytku. Często brak im zupełnie przedniej ściany, tak że widzieć można w przejeździe pasażerów, siedzących sztywnie i zachowujących się z wielką godnością. Tramwaje te popychane są przez tragarzy miejskich. Najdziwniejszą atoli rzeczą jest komunikacja kolejowa na ulicy Krokodylej.

Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzieś ku końcowi tygodnia, można zauważyć tłum ludzi oczekujący na zakręcie ulicy na pociąg. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i zdarza się często, że ludzie ustawiają się w dwóch różnych punktach, nie mogąc uzgodnić swych poglądów na miejsce przystanku. Czekają długo i stoją czarnym milczącym tłumem wzdłuż ledwo zarysowanych śladów toru, z twarzami w profilu, jak szereg białych masek z papieru, wyciętych w fantastyczną linię zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajężdża, już wjechał z bocznej uliczki, skąd go nie oczekiwano, niski jak wąż, miniaturowy, z małą, sapiącą, krępą lokomotywą. Wjechał w ten czarny szpaler i ulica staje się ciemna od tego ciągu wozów, siejących pył węglowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, pełnej smutku, tłumiony pośpiech i zdenerwowanie zamieniają ulicę na chwilę w halę dworca kolejowego w szybko zapadającym zmierzchu zimowym.

Plagą naszego miasta jest aźiotaż<sup>264</sup> biletów kolejowych i przekupstwo.

W ostatniej chwili, gdy pociąg już stoi na stacji, toczą się w nerwowym pośpiechu pertraktacje z przekupnymi urzędnikami linii żelaznej. Zanim te negocjacje się skończą, pociąg rusza, odprowadzany przez wolno sunący, rozczarowany tłum, który odprowadza go daleko, ażeby się wreszcie rozproszyć.

Ulica, zacieśniona na chwilę do tego zaimprovizowanego dworca, pełna zmierzchu i tchnienia dalekich dróg — rozwidnia się znowu, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotony tłum spacerowiczów, który wędruje wśród gwaru rozmów wzdłuż wystaw sklepowych, tych brudnych, szarych czworoboków, pełnych tandetnych towarów, wielkich woskowych manekinów i lalek fryzjerskich.

Wyzywająco ubrane, w długich koronkowych sukniach przechodzą prostytutki. Mogą to być zresztą żony fryzjerów lub kapelmistrzów<sup>265</sup> kawiarnianych. Idą drapieżnym, posuwistym krokiem i mają w niedobrych, zepsutych twarzach nieznaczną skazę, która je przekreśla: zezują czarnym, krzywym zezem lub mają usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa.

Mieszkańcy miasta dumni są z tego odoru zepsucia, którym tchnie ulica Krokodyli. Nie mamy potrzeby niczego sobie odmawiać — myślą z dumą — stać nas i na przyzwoitą wielkomięską rozpustę. Twierdzą oni, że każda kobieta w tej dzielnicy jest kokotą<sup>266</sup>.

<sup>263</sup>*papier-mâché* — masa modelarska na bazie rozdrobnionego papieru i substancji wiążącej, zwykle kleju lub gipsu.

<sup>264</sup>*ażiotaż* — spekulacja na giełdzie opierająca się na sztucznym podwyższeniu lub zniżeniu cen papierów wartościowych.

<sup>265</sup>*kapelmistrz* — kierownik orkiestry.

<sup>266</sup>*kokota* (daw.) — prostytutka.

Podróż

Kawiarnia, Kobieta "upadła"

Grzech, Kobieta "upadła",  
Kobieta demoniczna

W istocie wystarczy zwrócić uwagę na którąś — a natychmiast spotyka się to uporczywe, lepsze, łaskoczące spojrzenie, które nas zmraża rozkoszną pewnością. Nawet dziewczęta szkolne noszą tu w pewien charakterystyczny sposób kokardy, stawiają swoistą manierą smukłe nogi i mają tę nieczystą skazę w spojrzeniu, w której leży preformowane przyszłe zepsucie.

A jednak — a jednak czy mamy zdradzić ostatnią tajemnicę tej dzielnicy, troskliwie ukrywany sekret ulicy Krokodyli?

Kilkakrotnie w trakcie naszego sprawozdania stawialiśmy pewne znaki ostrzegawcze, dawaliśmy w delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uważny czytelnik nie będzie nie przygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówiliśmy o imitacyjnym i iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale słowa te mają zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określić połowiczny i nie zdecydowany charakter jej rzeczywistości.

Język nasz nie posiada określeń, które by dozwalały niejako stopień realności, definiowały jej gęstość. Powiedzmy bez ogródek: fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie dobiega do swego *definitivum*<sup>267</sup>, wszystkie ruchy rozpoczęte zawisają w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpują się przedwcześnie i nie mogą przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliśmy już zauważyć wielką bujność i rozrzutność — w intencjach, w projektach i antycypacjach<sup>268</sup>, która cechuje tę dzielnicę. Cała ona nie jest niczym innym, jak fermentacją pragnień przedwcześnie wybujała i dlatego bezsilną i pustą. W atmosferze nadmiernej łatwości kielkuje tutaj każda zachcianka, przelotne napięcie puchnie i rośnie w pustą, wydętą narośl, wystrzela szara i lekka wegetacja puszystych chwastów, bezbarwnych włochatych maków, zrobiona z nieważkiej tkanki majaku i haszyszu. Nad całą dzielnicą unosi się leniwy i rozwiązły fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydają się niekiedy dreszczem na jej gorączkującym ciele, gęsią skórką na jej febrycznych marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwościami, wstrząśnięci bliskością spełnienia, pobladli i bezwładni rozkosznym struchleniem ziszczenia. Lecz na tym się też kończy.

Przekroczywszy pewien punkt napięcia, przypływ zatrzymuje się i cofa, atmosfera gaśnie i przekwita, możliwości wędzną i rozpadają się w nicość, oszalałe, szare macki ekscytacji rozsypują się w popiół.

Będziemy wiecznie żalowali, żeśmy wtedy wyszli na chwilę z magazynu konfekcji podejrzanej konduity<sup>269</sup>. Nigdy nie trafimy już doń z powrotem. Będziemy błędzili od szyldu do szyldu i mylili się setki razy. Zwiedzimy dziesiątki magazynów, trafimy do całkiem podobnych, będziemy wędrowali przez szpalery książek, wertowali czasopisma i druki, konferowali długo i zawile z panienkami o nadmiernym pigmentcie i skażonej piękności, które nie potrafią zrozumieć naszych życzeń.

Będziemy się wikłali w nieporozumienia, aż cała nasza gorączka i podniecenie ulotni się w niepotrzebnym wysiłku, w straconej na próżno gonitwie.

Nasze nadzieje były nieporozumieniem, dwuznaczny wygląd lokalu i służby — pozorem, konfekcja była prawdziwą konfekcją, a subiekt nie miał żadnych ukrytych intencji. Świat kobiecy ulicy Krokodylej odznacza się całkiem miernym zepsuciem, zagłuszonym grubymi warstwami przesądów moralnych i banalnych pospolitości. W tym mieście taniego materiału ludzkiego brak także wybujałości instynktu, brak niezwykłych i ciemnych namiętności.

Ulica Krokodyli była koncesją naszego miasta na rzecz nowoczesności i zepsucia wielkomięjskiego. Widocznie nie stać nas było na nic innego, jak na papierową imitację, jak na fotomontaż złożony z wycinków zleżałych, zeszlórocznych gazet.

Falsz, Teatr, Miasto

<sup>267</sup>*definitivum* (łac.) — tu: cel, miejsce przeznaczenia.

<sup>268</sup>*antycypacja* — przewidywanie.

<sup>269</sup>*konduita* — sposób prowadzenia się.

# Karakony<sup>270</sup>

Było to w okresie szarych dni, które nastąpiły po świetnej kolorowości genialnej epoki mego ojca. Były to długie tygodnie depresji, ciężkie tygodnie bez niedziel i świąt, przy zamkniętym niebie i w zubożonym krajobrazie. Ojca już wówczas nie było. Górne pokoje wysprzątano i wynajęto pewnej telefonistce<sup>271</sup>. Z całego ptasiego gospodarstwa pozostał nam jedyny egzemplarz, wypchany kondor<sup>272</sup>, stojący na półce w salonie. W chłodnym półmroku zamkniętych firanek stał on tam, jak za życia, na jednej nodze, w pozie buddyjskiego mędrca, a gorzka jego, wyschła twarz ascety skamieniała w wyraz ostatecznej obojętności i abnegacji<sup>273</sup>. Oczy wypadły, a przez wypłakane, łzawe orbity sypały się trociny. Tylko rogowate egipskie narośle na nagim potężnym dziobie i na łysej szyi, narośle i gruzły<sup>274</sup> spłowiałobłękitnej barwy, nadawały tej starczej głowie coś dostojnie hieratycznego<sup>275</sup>.

Ptak

Pierzasty habit jego był już w wielu miejscach przeżarty przez mole i gubił miękkie, szare pierze, które Adela raz w tygodniu wymiatała wraz z bezimiennym kurzem pokoju. W wyłysiałych miejscach widać było workowe, grube płótno, z którego wylaziły kłaki konopne. Miałem ukryty żal do matki za łatwość, z jaką przeszła do porządku dziennego nad stratą ojca. Nigdy go nie kochała — myślałem — a ponieważ ojciec nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety, przeto<sup>276</sup> nie mógł też wrócić<sup>277</sup> w żadną realność i unosił się wiecznie na peryferii życia, w półrealnych regionach, na krawędziach rzeczywistości. Nawet na uczciwą, obywatelską śmierć nie zasłużył sobie — myślałem — wszystko u niego musiało być dziwaczne i wątpliwe. Postanowiłem w stosownej chwili zaskoczyć matkę otwartą rozmową. Owego dnia (był ciężki dzień zimowy i od rana już sypał miękki puch zmierzchu) matka miała migrenę<sup>278</sup> i leżała na sofie samotnie w salonie.

Ptak

W tym rzadko odwiedzanym, paradnym pokoju panował od czasu zniknięcia ojca wzorowy porządek, pielegnowany woskiem i szczotkami przez Adelę. Meble przykryte były pokrowcami; wszystkie sprzęty poddały się żelaznej dyscyplinie, jaką Adela roztoczyła nad tym pokojem. Tylko pęk piór pawich, stojących w wazie na komodzie, nie dał się utrzymać w ryzach. Był to element swawolny, niebezpieczny, o nieuchwytniej rewolucyjności, jak rozhukana klasa gimnazjalistek, pełna dewocji<sup>279</sup> w oczach<sup>280</sup>, a rozpustnej swawoli<sup>281</sup> poza oczyma. Świdrowały te oczy dzień cały i wierciły dziury w ścianach, mrugały, tłoczyły się, trzepocąc rzęsami, z palcem przy ustach, jedne przez drugie, pełne chichotu i psoty. Napęlniały pokój świergotem i szeptem, rozsypywały się, jak motyle, dookoła wieloramiennej lampy, uderzały tłumem barwnym w matowe, starcze zwierciadła, odwykłe od ruchu i wesołości, zaglądały przez dziurki od kluczy. Nawet w obecności matki, leżącej z zawiązaną głową na sofie, nie mogły się powstrzymać, robiły perskie oczko, dawały sobie znaki, mówiły niemym, kolorowym alfabetem, pełnym sekretnych znaczeń. Irytowało mnie to szydercze porozumienie, ta migotliwa zmowa poza mymi plecami. Z kolanami przyciśniętymi do sofy matki, badając dwoma palcami, jakby w zamysleniu, delikatną materię jej szlafroka, rzekłem niby mimochodem: — Chciałem cię już od dawna zapytać: prawda, że to jest on? — I chociaż nie wskazałem nawet spojrzeniem na kondora, matka odgadła od razu, zmieszała się bardzo i spuściła oczy. Dałem umyślnie upłynąć chwili, żeby wykosztować jej zmieszanie, po czym z całym spokojem,

Ptak, Ojciec, Matka,  
Tajemnica, Kłamstwo

<sup>270</sup>karakon (daw.) — karaluch.

<sup>271</sup>telefonistka — osoba obsługująca centralę telefoniczną, zajmująca się łączeniem rozmów.

<sup>272</sup>kondor — duży ptak występujący w Ameryce Południowej, drapieżnik i padlinożerca.

<sup>273</sup>abnegacja — brak troski o swój stan, wygląd i korzyści.

<sup>274</sup>gruzel — grudka, zgrubienie.

<sup>275</sup>hieratyczny — tu: uroczysty.

<sup>276</sup>przeto (daw.) — więc, dlatego.

<sup>277</sup>wrócić (daw.) — wrosnąć.

<sup>278</sup>migrena — silny, punktowy ból głowy.

<sup>279</sup>dewocja — przesadna i ostentacyjna religijność.

<sup>280</sup>w oczach — tu: na widoku; na pokaz.

<sup>281</sup>swawola (daw.) — nieposuszeństwo.

opanowując wzbierający gniew, spytałem: — Jaki sens mają w takim razie te wszystkie plotki i kłamstwa, które rozsiewasz o ojcu?

Lecz jej rysy, które w pierwszej chwili rozpadły się były w panice, zaczęły się znowu porządkować. — Jakie kłamstwa? — spytała, mrugając oczyma, które były puste, nalane ciemnym błękitem, bez białka. — Znam je od Adeli — rzekłem — ale wiem, że pochodzą od ciebie; chcę wiedzieć prawdę.

Usta jej drżały lekko, źrenice, unikając mego wzroku, powędrowały w kąt oka. — Nie kłamałam — rzekła, a usta jej napęczniały i stały się małe zarazem. Uczulem<sup>282</sup>, że mnie kokietuje jak kobieta mężczyzną. — Z tymi karakonami<sup>283</sup> to prawda — sam przecież pamiętasz... — Zmieszała się. Pamiętałem w istocie tę inwazję karakonów, ten zalew czarnego rojowiska, które napełniało ciemność nocną pajęczą bieganiną. Wszystkie szpary pełne były drgających wąsów, każda szczelina mogła wystrzelić z nagłą karakonem, z każdego pęknięcia podłogi mogła złągnąć się ta czarna błyskawica, lecąca oszalałym zyg-zakiem po podłodze. Ach, ten dziki obłęd popłochu, pisany błyszczącą, czarną linią na tablicy podłogi. Ach, te krzyki grozy ojca, skaczącego z krzesła na krzesło z dziirytem<sup>284</sup> w rękę. Nie przyjmując jadła ani napoju, z wypiekami gorączki na twarzy, z konwulsją<sup>285</sup> wstrętu wrytą dookoła ust, ojciec mój zdziczał zupełnie. Jasne było, że tego napięcia nienawiści żaden organizm długo wytrzymać nie może. Straszliwa odraza zamieniła jego twarz w stężoną maskę tragiczną, w której tylko źrenice, ukryte pod dolną powieką, leżały na czatach, napięte jak cięciwy, w wiecznej podejrzliwości. Z dzikim wrzaskiem zrywał się nagle z siedzenia, leciał na osłep w kąt pokoju i już podnosił dziryt, na którym utkwiony ogromny karakon przebierał rozpaczliwie gmatwaniną swych nóg. Adela przychodziła wówczas blademu ze zgrozy z pomocą i odbierała lancę wraz z utkwionym trofeum, ażeby ją utopić w cebrzyku<sup>286</sup>. Już wówczas jednak nie umiałbym powiedzieć, czy obrazy te zaszczerpiły mi opowiadania Adeli, czy też sam byłem ich świadkiem. Ojciec mój nie posiadał już wtedy tej siły odpornej, która zdrowych ludzi broni od fascynacji wstrętu. Zamiast odgraniczyć się od straszliwej siły atrakcyjnej<sup>287</sup> tej fascynacji, ojciec mój, wydany na łup szалу, wplątywał się w nią coraz bardziej. Smutne skutki nie dały długo na siebie czekać. Wnet pojawiły się pierwsze podejrzone znaki, które napełniły nas przerażeniem i smutkiem. Zachowanie ojca zmieniło się. Szal jego, euforia jego podniecenia przygasła. W ruchach i mimice jęły<sup>288</sup> się zdradzać znaki złego sumienia. Zaczął nas unikać. Krył się dzień cały po kątach, w szafach, pod pierzyną. Widziałem go nieraz, jak w zamyśleniu oglądał własne ręce, badał konsystencję skóry, paznokci, na których występować zaczęły czarne plamy, błyszczące, czarne plamy, jak łuski karakona.

W dzień opierał się jeszcze ostatkami sił, walczył, ale w nocy fascynacja uderzała nań potężnymi atakami. Widziałem go późną nocą, w świetle lampy stojącej na podłodze. Mój ojciec leżał na ziemi nagi, popstrzony czarnymi plamami totemu, pokreślony liniami żeber, fantastycznym rysunkiem przeświecającej na zewnątrz anatomii, leżał na czworakach, opętany fascynacją awersji<sup>289</sup>, która go wciągała w głąb swych zawitych dróg. Mój ojciec poruszał się wielocłonkowym, skomplikowanym ruchem dziwnego rytuału, w którym ze zgrozą poznałem imitację ceremoniału karakoniego.

Od tego czasu wyrzekliśmy się ojca. Podobieństwo do karakona występowało z dniem każdym wyraźniej — mój ojciec zamieniał się w karakona.

Zaczęliśmy się przyzwyczajać do tego. Widywaliśmy go coraz rzadziej, całymi tygodniami znikał gdzieś na swych karakonich drogach — przestaliśmy go odróżniać, zlał się w zupełności z tym czarnym niesamowitym plemieniem. Kto mógł powiedzieć, czy żył gdzieś jeszcze w jakiejś szparze podłogi, czy przebiegał nocami pokoje, zaplątany w afery karakonie, czy też był może między tymi martwymi owadami, które Adela co rana znajdowała brzuchem do góry leżące i najeżone nogami i które ze wstrętem brała na śmietniczkę i wyrzucała?

<sup>282</sup>uczulem — dziś: poczułem.

<sup>283</sup>karakon — karaluch.

<sup>284</sup>dziiryt (daw.) — krótka włócznia.

<sup>285</sup>konwulsja — nagły, mimowolny skurcz mięśni.

<sup>286</sup>cebrzyk (daw.) — wiaderko.

<sup>287</sup>siła atrakcyjna — przyciąganie.

<sup>288</sup>jęć (daw.) — zacząć.

<sup>289</sup>awersja — odraza.

Prawda, Kłamstwo, Ojciec,  
Matka

Robak

Ojciec, Szaleństwo, Noc

— A jednak — powiedziałem zdetonowany<sup>290</sup> — jestem pewny, że ten kondor to on. — Matka spojrzała na mnie spod rzęs: — Nie dręcz mnie, drogi — mówiłam ci już przecież, że ojciec podróżuje jako komiwojażer<sup>291</sup> po kraju — przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża do domu, ażeby przed świtem jeszcze dalej odjechać.

Ojciec, Ptak, Podróż,  
Tajemnica

## Wichura

Tej długiej i pustej zimy obrodziła ciemność w naszym mieście ogromnym, stokrotnym urodzajem. Zbyt długo snadź nie sprzątało na strychach i w rupieciarniach, stłaczano garnki na garnkach i flaszki na flaszki, pozwalano narastać bez końca pustym bateriom butelek.

Bunt, Ciemność, Dom

Tam, w spalonych, wielobelkowych lasach strychów i dachów, ciemność zaczęła się wyradzać i dziko fermentować. Tam zaczęły się te czarne sejmy garnków, te wiecowania gadatliwe i puste, te belkotliwe flaszki, bulgoty butli i baniek. Aż pewnej nocy wezbrały pod gontowymi przestworami falangi garnków i flaszek i popłynęły wielkim stłoczonym ludem na miasto.

Strychy, wystrychnięte ze strychów rozprzestrzeniały się jedne z drugich i wystrzelały czarnymi szpalerami, a przez przestronne ich echa przebiegały kawalkady<sup>292</sup> tramwajów<sup>293</sup> i belek, lansady<sup>294</sup> drewnianych kozłów, klękających na jodłowe kolana, ażeby wypadłszy na wolność, napęlić przestwory nocy galopem krokwi<sup>295</sup> i zgiełkiem płatew<sup>296</sup> i bantów<sup>297</sup>.

Ciemność, Noc, Bunt

Wtedy to wylały się te czarne rzeki, wędrówki beczek i konwi, i płynęły przez noc. Czarne ich, połyskliwe, gwarne zbiegowiska oblegały miasto. Nocami mrowił się ten ciemny zgiełk naczyń i napierał jak armie rozgadanych ryb, niewstrzymany najazd pyskujących skopców<sup>298</sup> i bredzących cebrów<sup>299</sup>.

Dudniąc dnami, piętrzyły się wiadra, beczki i konwie<sup>300</sup>, dyndały się gliniane stągwie<sup>301</sup> zdunów<sup>302</sup>, stare kapeluchy i cylindry dandysów<sup>303</sup> gramoliły się jedne na drugie, rosnąc w niebo kolumnami, które się rozpadały.

I wszystkie kołatały niezgrabnie kołkami drewnianych języków, mefły nieudolnie w drewnianych gębach belkot kłąt w i obelg, bluźniąc błotem na całą przestrzeń nocy. Aż dobluźniły się, dokleły swego.

Przywoływane rechotem naczyń, rozplotkowanym od brzegu do brzegu, nadeszły wreszcie karawany, nadciągnęły potężne tabory wichru i stanęły nad nocą. Ogromne obozowisko, czarny ruchomy amfiteatr zstępować zaczął w potężnych kręgach ku miastu. I wybuchła ciemność ogromną wzburzoną wichurą i szalała przez trzy dni i trzy noce...

\*

— Nie pójdziesz dziś do szkoły — rzekła rano matka — jest straszna wichura na dworze. — W pokoju unosił się delikatny welon dymu, pachnący żywicą. Piec wyl i gwizdał, jak gdyby uwiązana w nim była cała sfera psów czy demonów. Wielki bohomas, wymalowany na jego pękającym brzuchu, wykrzywił się kolorowym grymasem i fantastycznie wzdętymi policzkami.

Wiatr, Koniec świata

<sup>290</sup>zdetonowany (daw.) — onieśmielony.

<sup>291</sup>komiwojażer — przedstawiciel handlowy podróżujący w celu podtrzymywania kontaktów z klientami i nawiązania nowych umów.

<sup>292</sup>kawalkada — grupa jeźdźców lub pojazdów zmierzających w jednym kierunku.

<sup>293</sup>tram — pozioma belka, na której opierają się słupy podtrzymujące dach.

<sup>294</sup>lansada — długi skok konia.

<sup>295</sup>krokiew — pochyla belka podtrzymująca dach.

<sup>296</sup>plataw — poprzeczna belka podtrzymująca krokiew.

<sup>297</sup>bant — wspornik.

<sup>298</sup>skopek — drewniane wiaderko na mleko lub śmietanę.

<sup>299</sup>ceber — duże, okrągłe, drewniane naczynie.

<sup>300</sup>konew — rodzaj naczynia do przenoszenia i przechowywania płynów.

<sup>301</sup>stągiew (daw.) — pojemne, wysokie i dość szerokie naczynie.

<sup>302</sup>zdun — rzemieślnik stawiający piec.

<sup>303</sup>dandys — elegancki mężczyzna, koncentrujący się na komponowaniu oryginalnej i interesującej garderoby.



Pobiegłem boso do okna. Niebo wydmuchane było wzdłuż i wszerz wiatrami. Srebrzystobiałe i przestronne, porysowane było w linie sił, natężone do pęknięcia, w srogie bruzdy, jakby zastygłe żyły cyny i ołowiu. Podzielone na pola energetyczne i drżące od napięcia, pełne było utajonej dynamiki. Rysowały się w nim diagramy wichury, która, sama niewidoczna i nieuchwytna, ładowała krajobraz potęgą.

Nie widziało się jej. Poznawało się ją po domach, po dachach, w które wjeżdżała jej furia. Jeden po drugim strychy zdawały się rosnać i wybuchać szaleństwem, gdy wstępowała w nie jej siła.

Ogalała place, zostawiała za sobą na ulicach białą pustkę, zamiatała całe połacie rynku do czysta. Ledwie tu i ówdzie gwałcił się pod nią i trzepotał, uczepony węgiel<sup>304</sup> domu, samotny człowiek. Cały plac rynkowy zdawał się wybrzuszać i lśnić pustą łysiną pod jej potężnymi przelotami.

Na niebie wydmuchwał wiatr zimne i martwe kolory, grynszpanowe<sup>305</sup>, żółte i liliowe smugi, dalekie sklepienia i arkady swego labiryntu. Dachy stały pod tymi niebami czarne i krzywe, pełne niecierpliwości i oczekiwania. Te, w które wstąpił wichur, wstawały w natchnieniu, przerastały sąsiednie domy i prorokowały pod rozwichrzonym niebem. Potem opadały i gasły, nie mogąc dłużej zatrzymać potężnego tchu, który leciał dalej i napełniał cały przestwór zgiełkiem i przerażeniem. I znów inne domy wstawały z krzykiem, w paroksyzmie<sup>306</sup> jasnowidzenia, i zwiastowały.

Ogromne buki koło kościoła stały z wzniesionymi rękami, jak świadkowie wstrząsających objawień, i krzyczały, krzyczały.

Dalej, za dachami rynku, widziałem dalekie mury ogniowe, nagie ściany szczytowe przedmieścia. Wspięły się jeden nad drugi i rosły, zeszytywniały z przerażenia i osłupiały. Daleki, zimny, czerwony odblask zabarwiał je późnymi kolorami.

Nie jedliśmy tego dnia obiadu, bo ogień w kuchni wracał kłębam dymu do izby. W pokojach było zimno i pachniało wiatrem. Około drugiej po południu wybuchł na przedmieściu pożar i rozszerzał się gwałtownie. Matka z Adelą zaczęły pakować pościel, futra i kosztowności.

Nadeszła noc. Wichur wzmógł się na sile i gwałtowności, rozrósł się niepomiernie i objął cały przestwór. Już teraz nie nawiedzał domów i dachów, ale wybudował nad miastem wielopiętrowy, wielokrotny przestwór, czarny labirynt, rosnący w nieskończonych kondygnacjach. Z tego labiryntu wystrzelał całymi galeriami pokoiów, wyprowadzał pionem skrzydła i trakty, toczył z hukiem długie amfilady<sup>307</sup>, a potem dawał się zapadać tym wyimaginowanym piętróm, sklepienióm i kazamatóm<sup>308</sup> i wzbijał się jeszcze wyżej, kształtując sam bezforemny bezmiar swym natchnieniem.

Pokój drżał z lekka, obrazy na ścianach brzęczały. Szyby lśniły się tłustym odblaskiem lampy. Firanki na oknie wisały wzdęte i pełne tchnienia tej burzliwej nocy. Przypomnieliśmy sobie, że ojca od rana nie widziano. Wczesnym rankiem, domyślaliśmy się, musieliśmy udać się do sklepu, gdzie go zaskoczyła wichura, odcinając mu powrót.

— Cały dzień nic nie jadł — biadała matka. Starszy subiekt<sup>309</sup> Teodor podjął się wyprawić w noc i wichurę, żeby zanieść mu posiłek. Brat mój przyłączył się do wyprawy.

Okutani w wielkie niedźwiedzie futra, obciążyli kieszenie żelazkami i moździerzami<sup>310</sup>, balastem, który miał zapobiec porwanu ich przez wichurę.

Ostrożnie otworzono drzwi, prowadzące w noc. Zaledwie subiekt i brat mój z wzdętymi płaszczami wkroczyli jedną nogą w ciemność, noc ich połknęła zaraz na progu domu. Wichur zmył momentalnie ślad ich wyjścia. Nie widać było przez okno nawet latarki, którą ze sobą zabrali.

Pochłonawszy ich, wichur na chwilę przycichł. Adela z matką próbowały na nowo rozpalić ogień pod kuchnią. Zapalki gasły, przez drzwiczki dmuchało popiołem i sadzą. Staliśmy pod drzwiami i nasłuchiwali. W lamentach wichuru dawały się słyszeć wszelkie

<sup>304</sup>węgiel — zewnętrzny róg budynku.

<sup>305</sup>grynszpanowy — zielononiebieski, trujący związek nieorganiczny w postaci proszku.

<sup>306</sup>paroksyzm — skurcz.

<sup>307</sup>amfilada — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi na jednej osi.

<sup>308</sup>kazamaty — lochy, podziemia.

<sup>309</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie.

<sup>310</sup>moździerz — miseczka z tłuczkiem służąca do ucierania przypraw, leków itp.

Koniec świata, Drzewo

Koniec świata, Ogień

Wiatr

Noc, Ciemność

głosy, perswazje, nawoływania i gawędy. Zdawało się nam, że słyszymy wołanie o pomoc ojca zabłąkanego w wicherze, to znowu, że brat z Teodorem gwarzą beztrzesko pod drzwiami. Wrażenie było tak łudzące, że Adela otworzyła drzwi i w samej rzeczy ujrzała Teodora i brata mego, wynurzających się z trudem z wicherury, w której tkwili po pachy.

Weszli zdyszani do sieni, zaciskając z wysiłkiem drzwi za sobą. Przez chwilę musieli wesprzeć się o odrzwia<sup>311</sup>, tak silnie szturmował wicher do bramy. Wreszcie zasunęli rygiel i wiatr pognął dalej.

Opowiadali bezładnie o nocy, o wicherze. Ich futra, nasiąkłe wiatrem, pachniały teraz powietrzem. Trzepotali powiekami w świetle, ich oczy, pełne jeszcze nocy, broczyły ciemnością za każdym uderzeniem powiek. Nie mogli dojść do sklepu, zgubili drogę i ledwo trafili z powrotem. Nie poznawali miasta, wszystkie ulice były jak przestawione.

Matka podejrzewała, że kłamali. W istocie cała ta scena sprawiała wrażenie, jakby przez ten kwadrans stali w ciemnościach pod oknem, nie oddalając się wcale. A może naprawdę nie było już miasta i rynku, a wicher i noc otaczały nasz dom tylko ciemnymi kulisami, pełnymi wycia, świstu i jęków. Może nie było wcale tych ogromnych i żalonych przestrzeni, które nam wicher sugerował, może nie było wcale tych oplakanych labiryntów, tych wielookiennych traktów i korytarzy, na których grał wicher, jak na długich czarnych fletach. Coraz bardziej umacniało się w nas przekonanie, że cała ta burza była tylko donkiszoterią<sup>312</sup> nocną, imitującą na wąskiej przestrzeni kulis tragiczne bezmiary, kosmiczną bezdomność i sieroctwo wicherury.

Coraz częściej otwierały się teraz drzwi sieni i wpuszczały okutanego w opończe i szale gościa. Zziąjany sąsiad lub znajomy wywijał się powoli z chustek, płaszczy i wyrzucał z siebie zdyszany głosem opowiadania, urywane bezładne słowa, które fantastycznie powiększały, kłamliwie przesadzony bezmiar nocy. Siedzieliśmy wszyscy w jasno oświetlonej kuchni. Za ogniskiem kuchennym i czarnym, szerokim okapem komina prowadziło parę stopni do drzwi strychu.

Na tych schodkach siedział starszy subiekt Teodor i nasłuchiwał, jak strych grał od wichru. Słyszał, jak w pauzach wicherury miechy<sup>313</sup> żeber strychowych składały się w fałdy i dach wiotczał i zwiślał jak ogromne płuca, z których uciekł oddech, to znowu nabierał tchu, nastawiał się palisadami krokwi, rósł jak sklepienie gotyckie, rozprzestrzeniał się lasem belek, pełnym stokrotnego echa, i huczał jak pudło ogromnych basów. Ale potem zapomnieliśmy o wicherze. Adela tłukła cynamon w dźwięcznym moździerz. Ciotka Perazja przyszła w odwiedziny. Drobna, ruchliwa i pełna zapobiegliwości, z koronką czarnego szala na głowie, zaczęła krzątać się po kuchni, pomagając Adeli. Adela oskubała koguta. Ciotka Perazja zapaliła pod okapem garść papierów i szerokie płaty płomienia wlatywały z nich w czarną czeluść. Adela, trzymając koguta za szyję, uniosła go nad płomień, ażeby opalić na nim resztę pierza. Kogut zatrzepotał nagle w ogniu skrzydłami, zapiał i spłonął. Wtedy ciotka Perazja zaczęła się kłócić, kłąć, i złorzeczyć. Trzęsąc się ze złości, wygrażała rękami Adeli i matce. Nie rozumiałem, o co jej chodzi, a ona zacie trzewiała się coraz bardziej w gniewie i stała się jednym pękiem gestykulacji i złorzeczeń. Zdawało się, że w parokszymie złości rozgestykuje się na części, że rozpadnie się, podzieli, rozbiegnie w sto pajaków, rozgałęzi się po podłodze czarnym, migotliwym pękiem oszalałych karakonich<sup>314</sup> biegów. Zamiast tego zaczęła raptownie maleć, kurczyć się, wciąż roztrzęsiona i rozspująca się przekleństwami. Z nagła podreptała, zgarbiona i mała, w kąt kuchni, gdzie leżały drwa na opał, i klnąc, i kaszląc zaczęła gorączkowo przebierać wśród dźwięcznych drewnien, aż znalazła dwie cienkie, żółte drzazgi. Pochwyciła je latającymi ze wzburzenia rękami, przymierzała do nóg, po czym wspięła się na nie, jak na szczydła, i zaczęła na tych żółtych kulach chodzić, stukając po deskach, biegać tam i z powrotem wzdłuż skośnej linii podłogi, coraz szybciej i szybciej, potem wbiegła na ławkę jodłową, kuśtykając na dudniących deskach, a stamtąd na półkę z talerzami, dźwięczną, drewnianą półkę obiegającą ściany kuchni, i biegnąc po niej, kolankując na szczydłowych kulach, by

Noc, Błądzenie, Ciemność

Gość, Noc, Ciemność,  
Wiatr

Dom, Wiatr

Gniew, Czary

<sup>311</sup>odrzwia — tu: duże i ciężkie drzwi.

<sup>312</sup>donkiszoteria — heroiczna walka człowieka, który jest pozbawiony poczucia rzeczywistości i umiejętności realistycznej oceny ewentualnych zagrożeń, przez co często naraża się na śmieszność.

<sup>313</sup>miech — przyrząd do tłoczenia powietrza, stanowiący m.in. element organów.

<sup>314</sup>karakoni — karaluszy.

wreszcie gdzieś w kącie, malejąc coraz bardziej, szernieć, zwinąć się jak zwiędły, spalony papier, zetlić się w płatek popiołu, skruszyć w proch i w nicość.

Staliśmy wszyscy bezradni wobec tej szalejącej furii złości, która sama siebie trawiła i pożerała. Z ubolewaniem patrzyliśmy na smutny przebieg tego paroksyzmu i z pewną ulgą wróciliśmy do naszych zajęć, gdy żalosny ten proces dobiegł do swego naturalnego końca.

Adela zadzwoniła znowu moździerzem, tłukąc cynamon, matka ciągnęła dalej przetrwaną rozmowę, a subiekt Teodor, nasłuchując proroctw strychowych, stroił śmieszne grymasy, podnosił wysoko brwi i śmiał się do siebie.

## Noc wielkiego sezonu

Każdy wie, że w szeregu zwykłych, normalnych lat rodzi niekiedy zdziwaczały czas ze swego łona lata inne, lata osobliwe, lata wyrodne, którym — jak szósty, mały palec u ręki — wyrasta kędyś trzynasty, fałszywy miesiąc.

Mówimy fałszywy, gdyż rzadko dochodzi on do pełnego rozwoju. Jak dzieci późno spłodzone, pozostaje on w tyle ze wzrostem, miesiąc garbusek, odrośl w połowie uwiedła, raczej domyślna niż rzeczywista.

Winna jest temu starcza niepowściągliwość lata, jego rozpustna i późna żywotność. Bywa czasem, że sierpień ginie, a stary gruby pień lata rodzi z przyzwyczajenia jeszcze dalej, pędzi ze swego próchna te dni-dziczki, dni-chwasty, jałowe i idiotyczne, dorzuca na dokładkę, za darmo, dni-kaczany<sup>315</sup>, puste i niejadalne — dni białe, zdziwione i niepotrzebne.

Wyrastają one, nieregularne i nierówne, nie wykształcone, zrosnięte ze sobą, jak palce potworkowatej ręki, pączkujące, zwinęte w figę.

Inni porównują te dni do apokryfów<sup>316</sup>, wsuniętych potajemnie między rozdziały wielkiej księgi roku, do palimpsestów<sup>317</sup>, skrycie włączonych pomiędzy jej stronicę, albo do tych białych niezadrukowanych kartek, na których oczy, nacytane do syta i pełne treści, broczyć mogą obrazami i gubić kolory na tych pustych stronicach, coraz bliżej i bliżej, żeby wypocząć na ich nicości, zanim wciągnięte zostaną w labirynty nowych przygód i rozdziałów.

Ach, ten stary, pożółkły romans roku, ta wielka, rozpadająca się księga kalendarza! Leży ona sobie zapomniana gdzieś w archiwum czasu, a treść jej rośnie dalej między okładkami, pęcznieje bez ustanku od gadulstwa miesięcy, od szybkiego samoródtwa blagi, od bajania i majaczeń, które się w niej mnożą. Ach, i spisując te nasze opowiadania, szeregując te historie o moim ojcu na użytym marginesie jej tekstu, czy nie oddaję się tajnej nadziei, że wrosną one kiedyś niepostrzeżenie między żółtkę kartki tej najwspanialszej, rozsypującej się księgi, że wejdą w wielki szelest jej stronic, który je pochłonie?

To, o czym tu mówić będziemy, działo się tedy w owym trzynastym, nadliczbowym i niejako fałszywym miesiącu tego roku, na tych kilkunastu pustych kartkach wielkiej kroniki kalendarza.

Ranki były podówczas dziwnie cierpkie i orzeźwiający. Po uspokojonym i chłodniejszym tempie czasu, po nowym całkiem zapachu powietrza, po odmiennej konsystencji światła poznać było, że weszło się w inną serię dni, w nową okolicę Bożego Roku.

Głos drzał pod tymi nowymi niebami dźwięcznie i świeżo jak w nowym jeszcze i pustym mieszkaniu, pełnym zapachu lakieru, farb, rzeczy zaczętych i nie wypróbowanych. Z dziwnym wzruszeniem próbowało się nowego echa, napoczytno się je z ciekawością, jak w chłodny i trzeźwy poranek babkę do kawy, w przeddzień podróży.

<sup>315</sup>kaczany — kolba kukurydzy a. głąb kapusty.

<sup>316</sup>apokryfy — niekanoniczne opowieści o świętych i postaciach biblijnych a. księgi niewłączone do kanonu biblijnego.

<sup>317</sup>palimpsest — wielokrotnie zapisywany i wycierany papirus, z którego zazwyczaj można odczytać fragmenty więcej niż jednego tekstu.

Ojciec mój siedział znowu w tylnym kontuarze<sup>318</sup> sklepu, małej, sklepionej izbie, pokratkowanej jak ul w wielokomórkowe registry<sup>319</sup> i łuszczącej się bez końca warstwami papieru, listów i faktur. Z szelestu arkuszy, z nieskończonego kartkowania papierów wyrastała kratkowana i pusta egzystencja tego pokoju, z nieustannego przekładania plików odnawiała się w powietrzu z niezliczonych nagłówków firmowych apoteoza<sup>320</sup> w formie miasta fabrycznego, widzianego z lotu ptaka, najeżonego dymiącymi kominami, otoczonego rzędami medali i ujętego w wywijasy i zakręty pompatycznych *et i Comp.*

Tam siedział ojciec, jak w ptaszarni, na wysokim stołku, gołębniki registrarur szeleściły plikami papierów i wszystkie gniazda i dziupła pełne były świergotu cyfr.

Głęb wielkiego sklepu ciemniała i wzbogacała się z dnia na dzień zapasami sukna<sup>321</sup>, szewiotów<sup>322</sup>, aksamitów<sup>323</sup> i kortów<sup>324</sup>. W ciemnych półkach, tych spichrzach<sup>325</sup> i lamusach<sup>326</sup> chłodnej, pilśniowej<sup>327</sup> barwności, procentowała stokrotnie ciemna, odstała kolorowość rzeczy, mnożył się i sycił potężny kapitał jesieni. Tam rósł i ciemniał ten kapitał i rozsiadał się coraz szerzej na półkach, jak na galeriach jakiegoś wielkiego teatru, uzupełniając się jeszcze i pomnażając każdego rana nowymi ładunkami towaru, który w skrzyniach i pakach wraz z rannym chłodem wnosili na niedźwiedzich barach stękający, brodaci tragarze w oparach świeżości jesiennej i wódki. Subiekci<sup>328</sup> wyładowywali te nowe zapasy syjących bławatnych kolorów i wypełniali nimi, kitowali starannie wszystkie szpary i luki wysokich szaf. Był to rejestr olbrzymi wszelakich kolorów jesieni, ułożony warstwami, usortowany odcieniami, idący w dół i w górę, jak po dźwięcznych schodach, o gamach wszystkich oktaw barwnych. Zaczynał się u dołu i próbował jęklawie i nieśmiało altowych spęłzłości i półtonów, przechodził potem do spłowiałych popiołów dali, do gobelinowych zieleni i błękitów i rosnąc ku górze coraz szerszymi akordami, dochodził do ciemnych granatów, do indyga lasów dalekich i do pluszu parków szumiących, ażeby potem poprzez wszystkie ochry, sangwiny<sup>329</sup>, rudości i sepie<sup>330</sup> wejść w szelestny cień wędnących ogrodów i dojść do ciemnego zapachu grzybów, do tchnienia próchna w głębiach nocy jesiennej i do głuchego akompaniamentu najciemniejszych basów.

Ojciec mój szedł wzdłuż tych arsenałów<sup>331</sup> sukiennej jesieni i uspokajał i uciszał te masy, ich wzbierającą moc, spokojną potęgę Pory. Chciał jak najdłużej utrzymać w całości te rezerwy zamagazynowanej barwności. Bał się łamać, wymieniać na gotówkę ten fundusz żelazny jesieni. Ale wiedział, czuł, że przyjdzie czas i wicher jesienny, pustoszący i ciepły wicher, powieje nad tymi szafami i wtedy puszcza one i nic nie zdoła powstrzymać ich wylewu, tych strumieni kolorowości, którymi wybuchną na miasto całe.

Przychodziła pora Wielkiego Sezonu. Ożywiały się ulice. O szóstej godzinie po południu miasto zakwitało gorączką, domy dostawały wypieków, a ludzie wędrowali ożywieni jakimś wewnętrznym ogniem, naszminkowani i ubarwieni jaskrawo, z oczyma błyszczącymi jakąś odświeżoną, piękną i złą febrą<sup>332</sup>.

Na bocznych uliczkach, w cichych zaułkach, uchodzących już w wieczorną dzielnicę, miasto było puste. Tylko dzieci bawiły się na placzkach pod balkonami, bawiły się bez tchu, hałaśliwie i niedorzecznie. Przykładały małe pęcherzyki do ust, ażeby wydmuchać je i naindyczyć się nagle w jaskrawo wielkie, gulgocące, rozpluskane narośle albo wykogucić się w głupią kogucią maskę, czerwoną i piejącą, w kolorowe jesienne maskary, fantastyczne i absurdalne. Zdawało się, że tak nadęte i piejące wzniosą się w powietrze długimi kolorowymi łańcuchami i jak jesienne klucze ptaków przeciągać będą nad mia-

<sup>318</sup>kontuar — lada sklepowa.

<sup>319</sup>registratura — zbiór dokumentów urzędu lub kancelarii.

<sup>320</sup>apoteoza — uwielbienie a. ubóstwienie.

<sup>321</sup>sukno — ciężki wełniany materiał.

<sup>322</sup>szewiot — rodzaj wełnianej tkaniny.

<sup>323</sup>aksamit — miękka, krótko strzyżona tkanina.

<sup>324</sup>kort — rodzaj wełnianej tkaniny.

<sup>325</sup>spichlerz — magazyn do przechowywania zboża.

<sup>326</sup>lamus — magazyn staroci.

<sup>327</sup>pilśń — mocno zbity materiał wełniany.

<sup>328</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie.

<sup>329</sup>sangwin — brunatny odcień czerwieni przypominający kolor krwi (łac. *sanguis*).

<sup>330</sup>sepia — barwnik ciemnobrunatny.

<sup>331</sup>arsenał — dosł. magazyn broni, tu przen.: bogate zbiory.

<sup>332</sup>febra — tu: wysoka gorączka.

stem — fantastyczne flotyle z bibułki i pogody jesiennej. Albo woziły się wśród krzyków na małych zgiekliwych wózkach, grających kolorowym turkotem kólek, szprych i dyszli. Wózki zjeżdżały naładowane ich krzykiem i staczały się w dół ulicy aż do nisko rozlanej, żółtej rzeczki wieczornej, gdzie rozpadały się na gruz krążków, kołków i patyczków.

I podczas gdy zabawy dzieci stawały się coraz bardziej hałaśliwe i splątane, wypieki miasta ciemniały i zakwitały purpurą, nagle świat cały zaczynał więdnąć i czernieć i szybko wydzielał się zeń majaczkliwy zmierzch, którym zarażały się wszystkie rzeczy. Zdradliwie i jadowniczo szerzyła się ta zaraza zmierzchu wokół, szła od rzeczy do rzeczy, a czego dotknęła, to wnet butwiało, czerniało, rozpadało się w próchno. Ludzie uciekali przed zmierzchem w cichym popłochu i naraz dosięgał ich ten trąd, i wysypywał się ciemną wysypką na czole, i tracili twarze, które odpadały wielkimi, bezkształtnymi plamami, i szli dalej już bez rysów, bez oczu, gubiąc po drodze maskę po masce, tak że zmierzch roił się od tych larw porzuconych, sypiących się za ich ucieczką. Potem zaczynało wszystko zarastać czarną, próchniejącą korą, łuszczącą się wielkimi płatami, chorymi strupami ciemności. A gdy w dole wszystko rozprzęgało się i szło wniwecz w tej cichej zamieszce, w panice prędkiego rozkładu, w górze utrzymywał się i rósł coraz wyżej milczący alarm zorzy, drgający świergotem miliona cichych dzwonek, wzbierający wzlotem miliona niewidzialnych skowronków, lecących razem w jedną wielką, srebrną nieskończoność. Potem była już nagle noc — wielka noc, rosnąca jeszcze podmuchami wiatru, które ją rozszerzały. W jej wielokrotnym labiryncie wyłupane były gniazda jasne: sklepy — wielkie, kolorowe latarnie, pełne spiętrzonego towaru i zgiełku kupujących. Przez jasne szyby tych latarni można było śledzić zgiełkiwy i pełen dziwacznych ceremoniału obrzęd zakupów jesiennych.

Ta wielka, faldzista noc jesienna, rosnąca cieniami, rozszerzona wiatrami, kryła w swych ciemnych faldach jasne kieszenie, woreczki z kolorowym drobiazgiem, z pstrym towarem czekoladek, keksów, kolonialnej pstrokacizny. Te budki i kramiki, sklecone z pudełek po cukrach<sup>333</sup>, wytapetowane jaskrawo reklamami czekolad, pełne mydełek, wesolej tandety, złożonych błahostek, cynfolii<sup>334</sup>, trąbek, andrutów<sup>335</sup> i kolorowych miętówek, były stacjami lekkomyślności, grzechotkami beztroski, rozsianymi na wiszarach<sup>336</sup> ogromnej, labiryntowej, rozłopotanej wiatrami nocy.

Wielkie i ciemne tłumy płynęły w ciemności, w hałaśliwym zmieszaniu, w szurgocie tysięcy nóg, w gwarze tysięcy ust — rojna, splątana wędrówka, ciągnąca arteriami jesiennego miasta. Tak płynęła ta rzeka, pełna gwaru, ciemnych spojrzeń, chytrych lypnięć, pokawalkowana rozmową, posiekana gawędą, wielka miazga plotek, śmiechów i zgiełku.

Zdawało się, że to ruszyły tłumami jesiennie, suche makówki, sypiące makiem — głowy-grzechotki, ludzie-kołatki.

Mój ojciec chodził zdenerwowany i kolorowy od wypieków, z błyszczącymi oczyma, w jasno oświetlonym sklepie, i nasłuchiwał.

Przez szyby wystawy i portalu dochodził tu z daleka szum miasta, stłumiony gwar płynącej cizby. Nad ciszą sklepu płonęła jasno lampa naftowa, zwisająca z wielkiego sklepienia, i wypierała najmniejszy ślad cienia z wszystkich szpar i zakamarków. Pusta, wielka podłoga trzaskała w ciszy i liczyła w tym świetle wzdłuż i wszerz swe błyszczące kwadraty, szachownicę wielkich tafli, które rozmawiały ze sobą w ciszy trzaskami, odpowiadały sobie to tu, to tam głośnym pęknięciem. Za to sukna leżały ciche, bez głosu, w swej pilśniowej puszystości i podawały sobie wzdłuż ścian spojrzenia za plecami ojca, wymieniały od szafy do szafy ciche znaki porozumiewawcze.

Ojciec nasłuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać i rozgałęziać poza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip falujący w mętach nocy.

Nasłuchiwał i słyszał. Słyszał z rosnącym niepokojem daleki przypyływ tłumów, które nadciągały. Rozglądał się z przerażeniem po pustym sklepie. Szukał subiektów. Ale ci ciemni i rudzi aniołowie dokądś odlecieli. Pozostał on sam tylko, w trwodze przed tłumami, które wnet miały zalać ciszę sklepu plądrującą hałaśliwą rzeszą i rozebrać między siebie, rozlicytować całą tę bogatą jesień, od lat zbieraną w wielkim zacisznym spichlerzu.

<sup>333</sup>cukry — dziś: cukierki.

<sup>334</sup>cynfolia — cienka folia z walcowanej cyny, materiał ozdobny.

<sup>335</sup>andrut — typ wafelka.

<sup>336</sup>wiszary (poet.) — urwiska a. roślinność czepiająca się kamieni.

Tłum

Gdzie byli subiekci? Gdzie były te urodziwe cheruby, mające bronić ciemnych, sukiennych szanów<sup>337</sup>? Ojciec podejrzewał bolesną myślą, że oto grzeszą gdzieś w głębi domu z córami ludzi. Stojąc nieruchomy i pełen troski, z błyszczącymi oczyma w jasnej ciszy sklepu, czuł wewnętrznym słuchem, co działo się w głębi domu, w tylnych komorach wielkiej kolorowej tej latarni. Dom otwierał się przed nim, izba za izbą, komora za komorą, jak dom z kart, i widział gonitwę subiektów za Adelą przez wszystkie puste i jasno oświetlone pokoje, schodami na dół, schodami do góry, aż wymknęła się im i wpadła do jasnej kuchni, gdzie zabarykadowała się kuchennym kredensem.

Tam stała zdyszana, błyszcząca i rozbawiona, trzepocąca z uśmiechem wielkimi rzęsami. Subiekci chichotali, przykucnięci pode drzwiami. Okno kuchni otwarte było na wielką, czarną noc, pełną rojeń i splątania. Czarne, uchylone szyby płonęły refleksem dalekiej iluminacji. Błyszczące garnki i butle stały nieruchomo dokoła i lśniły w ciszy tłustą polewą. Adela wychylała ostrożnie przez okno swą kolorową, szminkowaną twarz z trzepocącymi oczyma. Szukała subiektów na ciemnym podwórzu, pewna ich zasadzki. I oto ujrzała ich, jak wędrowali ostrożnie, gęsiego, po wąskim gzymsie podokiennym wzdłuż ściany pietra, czerwonej odbłaskiem dalekiej iluminacji, i skradali się do okna. Ojciec krzyknął z gniewu i rozpaczy, ale w tej chwili gwar głosów stał się całkiem bliski i nagle jasne okna sklepu zaludniły się bliskimi twarzami, wykrzywionymi śmiechem, rozgadanyimi twarzami, które płaszczyły nosy na lśniących szybach. Ojciec stał się purpurowy ze wzburzenia i wskoczył na ladę. I kiedy tłum szturmem zdobywał tę twierdzę i wkra-  
czał hałaśliwą ciżbą do sklepu, ojciec mój jednym skokiem wspiął się na półki z suk-  
nem i, uwisły wysoko nad tłumem, dął z całej siły w wielki puzon z rogu i trąbił na alarm. Ale sklepienie nie zappełniło się szumem aniołów, śpieszących na pomoc, a zamiast tego każdemu jękwowi trąby odpowiadał wielki, roześmiany chór tłumy.

Tłum, Handel, Koniec  
świata

— Jakubie, handlować! Jakubie, sprzedawać! — wołali wszyscy, a wołanie to, wciąż powtarzane, rytmizowało się w chórze i przechodziło powoli w melodię refrenu, śpiewaną przez wszystkie gardła. Wtedy mój ojciec dał za wygraną, zeskoczył z wysokiego gzymsu, i ruszył z krzykiem ku barykadom sukna. Wyolbrzymiony gniewem, z głową spęczniałą w pięść purpurową, wbiegł, jak walczący prorok, na szanice sukienne i jął<sup>338</sup> przeciwko nim szaleć. Wpierał się całym ciałem w potężne bale wełny i wyważał je z osady, podsuwał się pod ogromne postawy sukna i unosił je na zgarbionych barach, by z wysokości galerii strącać je na ladę z głuchym łomotem. Bale leciały, rozwijając się z łopotem w powietrzu w ogromne chorągwie, pułki wybuchały zewsząd wybuchami draperii, wodospadami sukna, jak pod uderzeniem Mojżeszowej laski.

Handel, Prorok

Tak wylewały się zapasy szaf, wymiotowały gwałtownie, płynęły szerokimi rzekami. Wypływała barwna treść półek, rosła, mnożyła się i zalewała wszystkie lady i stoły.

Ściany sklepu znikły pod potężnymi formacjami tej sukiennej kosmogonii, pod tymi pasmami górskimi, piętrzącymi się w potężnych masywach. Otwierały się szerokie doliny wśród zboczy górskich i wśród szerokiego patosu wyżyn grzmiąły linie kontynentów. Przestrzeń sklepu rozszerzyła się w panoramę jesiennego krajobrazu, pełną jezior i dali, a na tle tej scenerii ojciec wędrował wśród fałd i dolin fantastycznego Kanaanu, wędrował wielkimi krokami, z rękoma rozkrzyżowanymi proroczno w chmurach, i kształtował raj uderzeniami natchnienia.

A u dołu, u stóp tego Synaju, wyrosłego z gniewu ojca, gestykułował lud, złorzeczył i czcił Baala, i handlował. Nabierali pełne ręce miękkich fałd, drapowali się w kolorowe sukna, owijali w zaimprovizowane domina<sup>339</sup> i płaszcze i gadali bezładnie a obficie.

Mój ojciec wyrastał nagle nad tymi grupami kupczących, wydłużony gniewem, i gro-  
mił z wysoka bałwochwalców potężnym słowem. Potem, ponoszony rozpaczą, wspiął się na wysokie galerie szaf, biegł obłądnie po bantach<sup>340</sup> półek, po dudniących deskach ogołoconych rusztowań, ścigany przez obrazy bezwstydney rozpusty, którą przeczuwał za plecami głębi domu. Subiekci dosięgli właśnie żelaznego balkonu na wysokości okna i wczepieni w balustradę, pochwycili w pół Adelę i wyciągnęli ją przez okno, trzepocącą oczyma i wlokącą za sobą smukłe nogi w jedwabnych pończochach.

<sup>337</sup>szaniec — ziemne umocnienie obronne.

<sup>338</sup>jąć (daw.) — zacząć.

<sup>339</sup>domino — rodzaj płaszcza z kapturem.

<sup>340</sup>bant — tu: wspornik zwiększający wytrzymałość półek.

Gdy ojciec mój, przerażony ohydą grzechu, wrastał gniewem swych gestów w prozę krajobrazu, w dole beztroski lud Baala oddawał się wyuzdanej wesołości. Jakaś parodystyczna pasja, jakaś zaraza śmiechu opanowała tę gawiedź<sup>341</sup>. Jakże można było żądać powagi od nich, od tego ludu kołatek i dziadków do orzechów! Jak można było żądać zrozumienia dla wielkich trosk ojca od tych młynków, mielących bezustannie kolorową miazgę słów! Głusi na gromy proroczego gniewu, przykucali ci handlarze w jedwabnych bekieszach<sup>342</sup> małymi kupkami dookoła sfałdowanych gór materii, roztrzásając gadatliwie wśród śmiechu zalety towaru. Ta czarna giełda roznosiła na swych prędkich językach szlachetną substancję krajobrazu, rozdrabniała ją siekaniną gadania i polykała niemal.

Handel, Grzech

Gdzie indziej stały grupy Żydów w kolorowych chałatach<sup>343</sup>, w wielkich futrzanych kołpakach<sup>344</sup> przed wysokimi wodospadami jasnych materii. Byli to mężowie Wielkiego Zgromadzenia<sup>345</sup>, dostojni i pełni namaszczenia panowie, gładzący długie, pielęgnowane brody i prowadzący wstrzemięźliwe i dyplomatyczne rozmowy. Ale i w tej ceremonialnej konwersacji, w spojrzeniach, które wymieniali, był błysk uśmiechniętej ironii. Wśród tych grup przewijał się pospolity, bezpostaciowy tłum, gawiedź bez twarzy i indywidualności. Wypełniał on niejako luki w krajobrazie, wyścielał tło dzwonkami i grzechotkami bezmyślnego gadania. Był to element błazeński, roztańczony tłum poliszynelów<sup>346</sup> i arlekinów<sup>347</sup>, który — sam bez poważnych intencji handlowych — doprowadzał do absurdu gdziekolwiek nawiązujące się transakcje swymi błazeńskimi figlami.

Żyd

Tłum, Lalka, Falsz, Teatr

Stopniowo jednak, znudzony błaznowaniem, wesoły ten ludek rozpraszał się w dalszych okolicach krajobrazu i tam powoli gubił się wśród skalnych załomów i dolin. Prawdopodobnie jeden po drugim zapadały się wesołki gdzieś w szczeliny i fałdy terenu, jak dzieci zmęczone zabawą po kątach i zakamarkach mieszkania w noc balową.

Tymczasem ojcowie miasta, mężowie Wielkiego Synhedrionu<sup>348</sup>, przechadzali się w grupach pełnych powagi i godności i prowadzili ciche, głębokie dysputy. Rozszedłszy się po całym owym wielkim, górzystym kraju, wędrowali po dwóch, po trzech na dalekich i krętych drogach. Małe i ciemne ich sylwety zaludniały całą tę pustynną wyżynę, nad którą zawisło ciężkie i ciemne niebo, sfałdowane i chmurne, poorane w długie równoległe bruzdy, w srebrne i białe skiby, ukazujące w głębi coraz dalsze pokłady swego uwarstwienia.

Światło lampy stwarzało sztuczny dzień w owej krainie — dzień dziwny, dzień bez świtu i wieczoru.

Ojciec mój uspokajał się powoli. Gniew jego układał się i zastygał w warstwach krajobrazu. Siedział teraz na galeriach wysokich półek i patrzył w jesienniejący, rozległy kraj. Widział, jak na dalekich jeziorach odbywał się połów ryb. W maleńkich łupinkach łódek siedziało po dwóch rybaków, zapuszczając sieci w wodę. Na brzegach chłopcy dźwigali na głowach kosze pełne trzepocącego się, srebrnego połowu.

Wówczas to dostrzegł, jak grupa wędrowców w oddali zadziera głowy ku niebu, wskazując coś wzniesionymi rękami.

I wnet zaroilo się niebo jakąś kolorową wysypką, osypało się falującymi plamami, które rosły, dojrzewały i wnet zapełniły przestworze dziwnym ludem ptaków, krążących i kołujących w wielkich, krzyżujących się spiralach. Całe niebo wypełniło się ich wzniosłym lotem, łopotem skrzydeł, majestatycznymi liniami cichych bujań. Niektóre z nich jak ogromne bociany płynęły nieruchomo na spokojnie rozpostartych skrzydłach, inne, podobne do kolorowych pióropuszków, do barbarzyńskich trofeów, trzepotały ciężko i niezgrabnie, ażeby utrzymać się na falach ciepłej aury; inne wreszcie, nieudolne konglo-

Ptak, Falsz

<sup>341</sup>gawiedź — bezmyślny i natrętny tłum.

<sup>342</sup>bekiesza — rodzaj podszytego futrem męskiego płaszczka.

<sup>343</sup>chałat — długie, luźne okrycie, element tradycyjnego stroju żydowskiego w Europie wschodniej.

<sup>344</sup>kołpak — wysoka futrzana czapka w kształcie stożka.

<sup>345</sup>Wielkie Zgromadzenie — rada żydowska utworzona w V w. p.n.e. po powrocie z wygnania babilońskiego.

<sup>346</sup>poliszynel — postać z komedii dell'arte. W wielkiej tajemnicy opowiada publiczności sekrety pozostałych postaci, nieświadomy tego, że widzowie i tak zdążyli się już o nich dowiedzieć. Stąd powiedzenie „tajemnica poliszynela”.

<sup>347</sup>arlekin — postać z komedii dell'arte. Sprytny sługa, który oszukuje swojego pana na wiele przemyślnych sposobów, zawsze uwikłany w wątek romansowy.

<sup>348</sup>Wielki Synhedrion a. Wielki Sanhedryn — żydowska rada starszych.

meraty<sup>349</sup> skrzydeł, potężnych nóg i oskubanych szyj, przypominały źle wypchane sępy i kondory, z których wysypują się trociny.

Były między nimi ptaki dwugłowe, ptaki wieloskrzydłe, były też i kaleki, kulejące w powietrzu jednoskrzydłym, niedołącznym lotem. Niebo stało się podobne do starego fresku, pełnego dziwolągów i fantastycznych zwierząt, które krążyły, wymijały się i znów wracały w kolorowych elipsach.

Mój ojciec podniósł się na bantach, oblany nagłym blaskiem, wyciągnął ręce, przyzywając ptaki starym zaklęciem. Poznał je, pełen wzruszenia. Było to dalekie, zapomniane potomstwo tej ptasiej generacji, którą ongiś Adela rozpuściła na wszystkie strony nieba. Wracało teraz, zwyrodniałe i wybujałe, to sztuczne potomstwo, to zdegradowane plemię ptasie, zmarniałe wewnątrz.

Wystrzelone głupio wzrostem, wyogromnione niedorzecznie, było wewnątrz puste i bez życia. Cała żywotność tych ptaków przeszła w upierzenie, wybujała w fantastyczność. Było to jakby muzeum wycofanych rodzajów, rupieciarnia Raju ptasiego.

Niektóre latały na wznak, miały ciężkie, niezgrabne dzioby, podobne do kłódek i zamków, obciążone kolorowymi naroślami, i były ślepe.

Jakże wzruszył ojca ten powrót niespodziany, jakże zdumiewał się nad instynktem ptasim, nad tym przywiązaniem do Mistrza, które wygnany ów ród piastował jak legendę duszy, ażeby wreszcie po wielu generacjach, w ostatnim dniu przed wygaśnięciem pleminia, pociągnąć z powrotem w pradawną ojczyznę.

Ale te papierowe, ślepe ptaki nie mogły już poznać ojca. Na darmo wołał na nie dawnym zaklęciem, zapomnianą mową ptasią, nie słyszały go i nie widziały.

Nagle zagwizdały kamienie w powietrzu. To wesółki, głupie i bezmyślne plemię, jęły celować pociskami w fantastyczne niebo ptasie.

Na darmo ojciec ostrzegał, na darmo groził zaklinającymi gestami, nie dosłyszano go, nie dostrzeżono. I ptaki spadały. Ugodzone pociskiem, obwisały ciężko i wędły już w powietrzu. Nim doleciały do ziemi, były już bezforemną kupą pierza.

W mgnieniu oka pokryła się wyżyna tą dziwną, fantastyczną padliną. Zanim ojciec dobiegł do miejsca rzezi, cały ten świetny ród ptasi już leżał martwy, rozciągnięty na skałach.

Teraz dopiero, z bliska, mógł ojciec obserwować całą lichotę tej zubożałej generacji, całą śmieszność tej tandetnej anatomii.

Były to ogromne wiechcie piór, wypchane byle jak starym ścierwem. U wielu nie można było wyróżnić głowy, gdyż pałkowata ta część ciała nie nosiła żadnych znamion duszy. Niektóre pokryte były kudłatą, zlepioną sierścią, jak żubry, i śmierdziały wstrętnie. Inne przypominały garbate, łyse, zdechłe wielbłądy. Inne wreszcie były najwidoczniej z pewnego rodzaju papieru, puste w środku, a świetnie kolorowe na zewnątrz. Niektóre okazywały się z bliska niczym innym, jak wielkimi pawimi ogonami, kolorowymi wachlarzami, w które niepojętym sposobem tchnięto jakiś pozór życia.

Widziałem smutny powrót mego ojca. Sztuczny dzień zabarwiał się już powoli kolorami zwyczajnego poranka. W spustoszałym sklepie najwyższe półki syciły się barwami rannego nieba. Wśród fragmentów zgasłego pejzażu, wśród zburzonych kulis nocnej scenerii — ojciec widział wstających ze snu subiektów. Podnosili się spomiędzy bali sukna i ziewali do słońca. W kuchni, na piętrze, Adela, ciepła od snu ze zmierzwionymi włosami, meła kawę na młynku, przyciskając go do białej piersi, od której ziarna nabierały blasku gorąca. Kot mył się w słońcu.

<sup>349</sup> konglomerat — połączenie wielu zróżnicowanych elementów.



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sklepy-cynamonowe>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Double--M@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.